

Zeszyt Osuchowski

Nr 16

OSUCHY 2019

WYDAWCA

Gminny Ośrodek Kultury w Łukowej

23 – 412 Łukowa

tel. 84 687 40 60

e-mail: gokluk1@wp.pl

www.lukowa.pl

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Wiesława Kubów, Maria Działo, Elżbieta Nizio, Tomasz Brytan

DRUK

Z.P. „Helvetica”

ul. Włosiankarska 13A

23-400 Biłgoraj

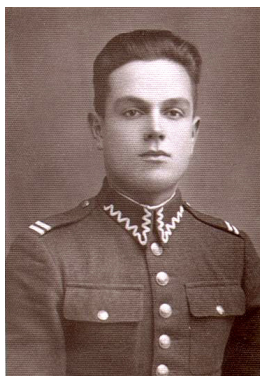
ZDJĘCIA

zbiory prywatne: Danuty Ćwiklińskiej, Bronisławy Staszczuk Wolczyszyn, Izabeli Kot,
Jerzego Żyły

© GOK w Łukowej

ISSN 2657-6856

Nawiązanie do relacji Czesława Mużacza „Wrągi”, „Selima”



W tym roku mija 80 rocznica napaści Niemiec i ZSRR na Polskę. Ziemia Biłgorajska miała niespodziewanie wyjątkowe znaczenie w jej przebiegu. Wielu jej mieszkańców – oficerów, podoficerów i szeregowych żołnierzy, świt 1 września zastał w koszarach, w transportach kolejowych, stanowiskach obronnych, na posterunkach i patrolach. Wrześniowe boje były dla części ostatnimi, dla innych były jedynie preludium do dalszej walki o Niepodległość. Wojenne drogi zaprowadziły wielu z nich w ostatnie dni czerwca 1944 r. pod Osuchy. Jednym z nich był Czesław Mużacz „Wrąga”, „Selim”¹, który swą wojenną epopeję rozpoczął patrolując Puszczę Augustowską. Czytelnikom Zeszytów Osuchowskich raczej nie trzeba przedstawiać jego okupacyjnej sylwetki. Była to postać ze wszech miar wyjątkowa, a jednocześnie skromna. Mówiąc zwięźle był bohaterem, choć sam na pewno tak by siebie nie nazwał. Na łamach Zeszytów Osuchowskich jego osoba wspominana była wielokrotnie. Z jego losami można zapoznać się szerzej w artykule Pani Marii Działo *Wojenne losy Czesława Mużacza „Selima” – żołnierza AK walczącego podczas okupacji hitlerowskiej z Niemcami w Puszczy Solskiej*² oraz w ponad siedmiogodzinnym wywiadzie jaki przeprowadził

¹ Zmarł 14 maja 2014 w Otwocku.

² M. Działo, *Wojenne losy Czesława Mużacza „Selima” – żołnierza AK walczącego podczas okupacji hitlerowskiej z Niemcami w Puszczy Solskiej*. [w:] *Zeszyt Osuchowski*, t. 6, Osuchy 2009r, s. 37 -50.

z nim Pan Jarosław Pałka z Archiwum Historii Mówionej w 2007 r.³. Te dwie prace są najlepszym źródłem biograficznym dotyczącym Czesława Mużacza. Niniejsza edycja wrześniowych wspomnień (dotąd nigdy nie publikowana) tego żołnierza AK jest uzupełnieniem i wypełnieniem jego wojennego życiorysu. Wspomnienia mogą mieć też dużą wartość poznawczą dla historyków badających przebieg walk pułku w jakim walczył. W historiografii tego tematu zachowały się relacje zaledwie trzech jego żołnierzy (z ok. 6 tys.)⁴ w tym wszystkie są raportami i kwestionariuszami z wrześniowych bojów sporządzonych dla dowództwa Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Mimo, że wspomnienia dotyczą paru tygodni września 1939 r. trudno oprzeć się wrażeniu, że były one dla autora nie mniej intensywne, niż parę pierwszych lat w konspiracji. Wspomnienia żołnierza z września 1939 r., bo tak zatytułował Czesław Mużacz swoją relację, znajdują się w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL, w zbiorach przekazanych przez dr. Zygmunta Klukowskiego⁵. W czasie okupacji doktor Klukowski przyjmował w zapłacie za leczenie żołnierzy AK jedną „walutę”. Były nią wspomnienia i relacje z walk partyzanckich. Leczony zwykle gdy „doszedł do siebie” dostawał od doktora polecenie, aby spisać to, co przeżył. Mimo paru ran jakie otrzymał Mużacz w czasie walk, jego pierwszy kontakt z doktorem Klukowskim został nawiązany w bardziej zwyczajny sposób, za pośrednictwem przyszłej żony (miało to miejsce najprawdopodobniej, pod koniec 1943 roku). Tak wspominał to wydarzenie po latach. Przez żonę poznałem Klukowskiego. Często jak przyjeżdżałem, to już mnie nie wypuścił, i żeby mu coś nie opisać albo nie opowiedzieć⁶. Po powrocie z internowania w obozie NKWD w Riazaniu w 1946 r. stan zdrowia Czesława Mużacza był zły (zdiagnozowano niewyleczone zapalenia płuc), dlatego pierwsze kroki skierował do doktora Klukowskiego.

³ Czesław Mużacz, Relacja Biograficzna, 2007r. [w:] relacjebiograficzne.pl [dostęp: 21.05.2019], <<https://relacjebiograficzne.pl/wyszukiwanie/?type=t&q=M%C5%B4Cz>>

⁴ R. Szawłowski (Karol Liszewski), *Wojna polsko – sowiecka 1939, t.1*, Warszawa 1997, s. 199.

⁵ BU KUL, sygn. 857, Czesław Mużacz, *Wspomnienia żołnierza z września 1939 r.*, k. 329 -338.

⁶ Czesław Mużacz, Relacja Biograficzna, 2007r. [w:] relacjebiograficzne.pl [dostęp: 21.05.2019], <<https://relacjebiograficzne.pl/wyszukiwanie/?type=t&q=M%C5%B4Cz>>

W czasie hospitalizacji w szpitalu w Szczepieszynie doktor „(...) kazał pisać, jak tam w obozie było (...)”⁷ Te dwie informacje o kontaktach tych dwóch wyjątkowych osobistości wskazują, kiedy mogły powstać niniejsze wspomnienia. Był to albo przełom lat 1943-1944, bądź 1946 r. Wspomnienia zostały spisane kłopotliwym ołówkiem na pośliskich dziś kartkach z zeszytu. Mimo, że spisane z niewielkiej perspektywy czasu, zauważalne są już pewne nieścisłości w porównaniu z dostępną literaturą i wspomnieniami dotyczącymi walk jednostki, w której walczył. Widać to zwłaszcza w przesunięciu o parę dni do przodu niektórych wydarzeń. Sporą trudnością przy edycji tekstu był niewyraźny styl pisma, brak interpunkcji oraz liczne powtórzenia. Autor opracowania zachował pierwotną pisownię wraz z typowymi dla wojskowego żargonu II RP (dziś już archaicznymi) skrótami nazwy poszczególnych rodzajów broni takich jak k.m – karabin maszynowy, erkaem – ręczny karabin maszynowy czy k.b karabin, itp. Poprawiono jedynie pisownię nazw narodowości, którą autor z konsekwencją pisał z małej litery. Nie udało się z całą pewnością odczytać niektórych nazw własnych miejscowości i nazwisk. Przy ich identyfikacji posłużono się literaturą i wspomnieniami dotyczącymi działań wojennych formacji, w której Czesław Mużacz „przeszedł” Wojnę Obronną 1939 r.⁸ Wspomnienia rozpoczynają się w piętnastym dniu września, dlatego wydają się nieco „wyrwane” z ogólnego kontekstu” działań wojennych. Konieczne jest więc dla mniej wtajemniczonych czytelników wprowadzenie do miejsca i okoliczności w jakich znalazł się autor w przeddzień opisywanych wydarzeń. Skomplikowane są też losy samego oddziału Czesława Mużacza. Do dziś nie wiemy o wielu epizodach, decyzjach i działaniach, które miały miejsce podczas toczonych z jego udziałem walk, co również uzupełniają poniższe wspomnienia. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że nie była to zwykła jednostka. Był nim 3 pułk

⁷ Tamże.

⁸ Opis działań wojennych 3. pp KOP autor opracowania oparł na dostępnej literaturze, szerzej zob. np.: Cz. Grzelak, *Kresy w czerwieniu 1939. Agresja Związku Sowieckiego na Polskę*, Warszawa 2009., R. Szawlowski (Karol Liszewski), *Wojna polsko – sowiecka 1939*, t.1 – 2, Warszawa 1997.

piechoty Korpusu Ochrony Pogranicza. Bezpośrednią przyczyną powstania KOP w 1924 r. były napady silnie uzbrojonych sowieckich oddziałów terrorystyczno-dywersyjnych na przygraniczne miejscowości znajdujące się na Kresach Wschodnich II RP. Te działania sowieckich służb specjalnych i wywiadu miały na celu destabilizację tworzącej się tam administracji „młodego” Państwa Polskiego oraz podsycanie antypolskich postaw wśród mniejszości narodowych. KOP miał być zbrojną odpowiedzią na sowiecką dywersję, sabotaż i szpiegostwo. Innym ważnym zadaniem tej formacji były starania o przywrócenie praworządności i szeroko pojętego ucywilizowania tych zaniedbanych przez lata zaborów kresowych ziem. Do formacji tej przyjmowano jedynie ludzi o patriotycznych postawach, niekaranych, inteligentnych. Młody Czesław Mużacz zafascynowany lekturą Henryka Sienkiewicza i magią Kresów zaciągnął się do KOP na ochotnika w 1935 r. Po przejściu 6 miesięcznej „unitarki” w 8. pp Legionów w Lublinie został skierowany na roczny kurs do Centralnej Szkoły Podoficerów KOP w Osowcu. Po powrocie z kursu, który zakończył z 8 lokatą, został przydzielony do batalionu KOP „Łużki” (z dowództwem w Łużkach). Służbę odbywał w strażnicy KOP „Dziśna” w powiecie dziśnieńskim na Wileńszczyźnie. Dowódcą strażnicy był wówczas st. sierż. Stanisław Taberski. W trakcie służby w Dziśnie został skierowany na dwutygodniowy kurs minerki (w Nowej Wilejce), który miał przygotować go do ewentualnej walki dywersyjnej. Na początku 1939 r. przeszedł półroczny kurs w Centralnej Szkole Podoficerów KOP w Osowcu awansując na stopień kaprała. Na kursie tym przeszedł przeszkolenie dywersyjne i saperskie. Te dwa kursy, jak pokazała późniejsza służba w AK, zaowocowały licznymi udanymi akcjami partyzanckimi⁹. Po powrocie z Osowca został przydzielony do Batalionu KOP „Podświle”, gdzie mianowano go dowódcą mobilizowanego plutonu zwiadowców. Pluton ten składał się z 2 drużyn kawalerzystów (30 żołnierzy) i 2 drużyn cyklistów (25 żołnierzy). Najprawdopodobniej tuż

⁹ Czesław Mużacz, *Relacja Biograficzna*, 2007r. [w:] relacjebiograficzne.pl [dostęp: 21.05.2019], <<http://relacjebiograficzne.pl/wyszukiwanie/?type=t&q=M%C5%BACacz>>

przed wybuchem wojny został zastępcą dowódcy tego oddziału. Pododdziały zwiadowców zaczęto formować w przededniu wojny, gdyż nie było ich w pokojowej strukturze jednostek KOP¹⁰. W trakcie mobilizacji alarmowej tzw. „cichej” zarządzanej 24 sierpnia Batalion KOP „Podswile” został przydzielony do formującego się 3. pp KOP jako jego 2 batalion. Dowódcą tego pułku był płk. Zdzisław Aleksander Zajązkowski. Czesław Mużacz został przydzielony do Oddziału Rozpoznawczego składającego się z plutonu konnych zwiadowców i plutonu zwiadowców cyklistów. Najprawdopodobniej (jak wynika z poniższych wspomnień) wyznaczony na dowódcę jednej drużyny plutonu zwiadowców cyklistów. 3. pp KOP został skierowany kolejną do Augustowa, gdzie wyznaczono mu dozоровanie Puszczy Augustowskiej, jednak po paru dniach na rozkaz Naczelnego Wodza został skierowany na Przedmoście Rumuńskie. Z Augustowa pierwsze elementy pułku miały wyruszyć kolejną już 13 września. W trakcie przejazdu kolejowego, jak i późniejszego marszu, pułk został znacznie wzmocniony przez dołączające się po drodze do niego inne mniejsze pododdziały z różnych rodzajów sił zbrojnych. Informacje o wkroczeniu 17 września Rosjan zastały pułk między Kostopolem, a Równem pod miasteczkiem Derażne. Według meldunków kolejne stacje kolejowe zostały zajęte przez wkraczające oddziały Armii Czerwonej. Dowódca pułku nie wierzył w wiarygodność rozkazu Naczelnego Wodza, żeby nie walczyć z wkraczającymi Sowieci. Wobec tej sytuacji zaprzestano dalszej jazdy na południe i po wyładowaniu się z transportów kolejowych skierowano się marszem na zachód w stronę Bugu, aby dołączyć do walczących oddziałów w centrum kraju. Dochodząc do przedmieść Kołek nad rzeką Styr 3. pp KOP w ariergardzie, którą jechał pluton zwiadowców pod dowództwem kpr. Czesława Mużacza został ostrzelany ogniem maszynowym przez bojówkę ukraińsko-żydowską. Warto przybliżyć w tym miejscu udział mniejszości narodowych w walce przeciwko administracji i wojsku polskiemu na ówczesnych Kresach, ponieważ

¹⁰ J. Prochowicz, *Korpus Ochrony Pogranicza 1924 – 1939*, Warszawa 2006, s. 74.

temat ten będzie często „przewijać się” w poniższych wspomnieniach. Antypolskie wystąpienia (przynajmniej formalnie obywatele Polski) Żydów, Ukraińców i Białorusinów miały na Kresach charakter masowy. Najczęściej były inspirowane i kierowane przez wkraczających Sowieców. Ludzie ci zachłyszeli się kłamstwami propagandowymi, które obiecywały im równość, wolność, dobrobyt. Było to faktycznie całkowitym zaprzeczeniem stanu, jaki nastał po zajęciu Kresów Wschodnich przez okupacyjną administrację Rosji Radzieckiej. Wystąpienia antypolskie były w dużej mierze samorzutne, inicjowane oddolnie przez miejscowych komunistów, którzy na wzór sowiecki organizowali Komitety Rewolucyjne i Czerwoną Milicję zwaną „opaskową” od noszonych na ramieniu czerwonych opasek. Takie komitety i milicje, które rozbrajały i mordowały bezbronnych żołnierzy Wojska Polskiego, witając wkraczających czerwonoarmistów bramami triumfalnymi, powstały też w Biłgoraju, Tarnogrodzie, Frampolu i w wielu innych miejscowościach Zamojszczyzny.

Przed wojną również wywiad niemiecki (Abwera) inspirował i szkolił struktury OUN (Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów) do powstania antypolskiego. Po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow Niemcy zaniechali tych planów. Jednak Ukraińcy kontynuowali przygotowania do tej akcji. Po wybuchu wojny bojówki OUN zasilone nierzadko uwolnionymi kryminalistami, mętami społecznymi i Żydami zajęły szereg kresowych miejscowości. Ukraińcy rozbrajali i mordowali pojedynczych polskich żołnierzy, policjantów i urzędników państwowych. Dochodziło do licznych grabieży majątków ziemskich, kościelnych i miejscowych Polaków. Bojówki te atakowały też sporadycznie niewielkie cofające się oddziały wojska polskiego. Osobliwością był udział Żydów w oddziałach sabotażowo-dywersyjnych. Bardzo często byli to ludzie zamożni, właściciele kamienic, fabryk, tartaków, którym ustrój sowiecki właściwie odbierał ten byt i według zasad walki klasowej, to właśnie oni byli wrogami rewolucji. Podwójnym paradoksem, jest również to, że w niedalekiej przyszłości pomagający Ukraińcom Żydzi byli masowo eksterminowani na terenie całego Wołynia właśnie przez tych pierwszych. Było to już niemiecką

okupacją, a Ukraińcy częściowo należeli już wtedy do podległej Niemcom Ukraińskiej Policji Pomocniczej (Ukrainische Hilfspolizei) i przestępczej nacjonalistycznej OUN (później również UPA).

Zaznaczyć trzeba, że w świetle prawa międzynarodowego i wojennego obowiązującego wówczas w cywilizowanych krajach Europy i Świata złapani z bronią w ręku dywersanci pomagający wrogowi zewnętrznemu podlegali najsurowszemu wymiarowi kary. Dziwić więc nie mogą, wspomniane przez Czesława Mużacza egzekucje. Rozstrzeliwano ich nie tylko za zdradę, ale też prewencyjnie i jako przestroga przed atakami na ludność cywilną, urzędników państwowych, żołnierzy Wojska Polskiego i policjantów. Doraźne sądy, i szybkie egzekucje były wymuszone ciągłym przemieszczaniem się pułku, który nie mógł zapewnić obrony obywatelem Polski na większym obszarze.

Wracając do wydarzeń w Kołkach, trzeba wspomnieć, że zostały one szybko opanowane, a wzięci do niewoli dywersanci rozstrzelani. W trakcie dalszego marszu, 21 września pułk nawiązał styczność bojową z oddziałami rozpoznawczymi Armii Czerwonej. Walki toczono w rejonie trójkąta miejscowości Borowicze-Hruziatyn-Nawóz. Pierwsze starcia z Sowietami były zwycięskie, wzmocniło to morale i wiarę w swoje możliwości. Polacy posiadając dość liczną artylerię przeciwpancerną zniszczyli kilka czołgów. W miarę zbliżania się wielkich jednostek nieprzyjaciela, w tym pancernych i zmotoryzowanych, walki stawały się coraz bardziej zacięte i toczyły się ze zmiennym szczęściem. Po wprowadzeniu do działań większej ilości czołgów, ciężkiej artylerii i lotnictwa, straty pułku zaczęły szybko rosnąć. Przeciwnik posiadający przygniatającą przewagę nad samotnym pułkiem KOP zmusił go do odwrotu. Do ostatnich walk doszło 22 września, kiedy to pułk klucząc w kierunku zachodnim próbował uchwycić przeprawę przez rzekę Stochód koło miejscowości Janówka. 23 września mocno poturbowany oddział dotarł do Radoszyna, gdzie w obliczu okrążenia przez przeważające siły Armii Czerwonej płk Zajączkowski zdecydował się na kapitulację. Warunki jakie wynegocjował były korzystne, ponieważ Sowieci zgodzili się,

że po złożeniu broni puszcza wszystkich wolno. Opis kapitulacji jaki pozostawił autor poniższych wspomnień jest krótki, ale jest też najbardziej dramatyczną i poruszającą częścią jego wspomnień. Po złożeniu broni wcześniejsze ustalenia zostały złamane i uwolniono tylko szeregowych. Zdecydowana większość oficerów i podoficerów wziętych wtedy do niewoli została zamordowana w Katyniu przez NKWD. Tylko z Batalionu KOP „Łużki”, który po mobilizacji wszedł w skład 3. pp KOP na listach katyńskich znajdują się 22 osoby¹¹. Jako kapral nadterminowy (kandydat na podoficera) Mużacz domyślając się możliwego przyszłego losu, wraz z kolegą uciekł z niewoli. Pieszo, kierując się przez Włodzimierz Wołyński do Zamościa dotarł do rodzinnych Brzezin, gdzie bardzo szybko rozpoczął nowy etap walki już w szeregach ZWZ-AK. Oddajmy tutaj głos autorowi, by zobaczyć jak z Jego perspektywy wyglądały wrześnieowe boje, niestety ze wszystkimi tylko nie z Niemcami.



Maria Piasecka „Żar” z mężem Czesławem Mużaczem „Selimem”.

¹¹ J. Prochowicz, *Korpus Ochrony Pogranicza 1924 – 1939*, Warszawa 2006, s. 157.

Wspomnienia żołnierza z września 1939 r.

Dzień 15 września rozpoczął się gorączkowo. Na odprawie rannej, która odbyła się w kwaterze dowódcy kompanii dowiedzieliśmy się, że w godzinach wieczornych mamy się załadować na transport i opuścić dotychczasowe stanowiska i wyjechać pod Lwów, ponieważ tam nasze oddziały są poważnie zagrożone. Wiadomość ta została przez nas przyjęta z niekłamaną radością, bo siedzenie na linii kanału augustowskiego dało nam się mocno we znaki, że aż zaczęliśmy wszyscy ziewać z nudów. Niemcy widocznie wiedzieli, że mają przed sobą oddziały 3 - ciego pp. KOP i nie wchodzili z nami w żaden konflikt zbrojny. O godzinie 15 – tej wysłane zostały tabory na stację kolejową Augustów, my natomiast zostaliśmy na stanowiskach ubezpieczających załadunek transportu. Godzina 22 – ga schodzimy ze stanowisk i marsz do Augustowa, po drodze wymiana hasel, gdzie na mostach i na śluzach stała straż obywatelska i jazda do transportu. Mijamy bez żadnych przeszkód Różanystok, Grodno, Baranowicze zatrzymując się na krótkie postoje na stacjach w celu ugotowania strawy. Dopiero pod Sarnami spotykamy transport składający się z polskich czołgów i samochodów. Gdzieś widać zbombardowane stacje, poprzecinane druty, które są naprędce naprawiane. Jedziemy powoli, a każdy z nas chciałby jak najprędzej spotkać się z Niemcami i jak to mówią zwiadowcy dać im łupnia. Nie długo sądzone było nam czekać. Gdy znajdowaliśmy się za Sarnami usłyszeliśmy głuchy warkot, rozglądamy się, aż tu od zachodu leci 6 samolotów niemieckich, natychmiast transport staje, obrona O.P.L. otwiera z 10 ckm ogień. Wybuchy bomb pomieszały się z ogniem naszych k.mów. Krótko trwało bombardowanie. Nieprzyjacielskie samoloty widocznie przekonały się na własnej skórze, że mają do czynienia z tęgimi żołnierzami i szybko opuściły pole walki, nie wyrządzając nam większych szkód. Po nalocie samolotów

nieprzyjacielskich ruszyliśmy dalej. Nie ujechaliśmy 10 kilometrów, gdy znaleźliśmy się na jakiejś stacyjce gdzie widzieliśmy jakiś ożywiony ruch. Korzystając z przerwy wychodzę z wagonu i widzę kupę dymiących wagonów, swąd spalonych ciał ludzkich mieszających się z parą wydobywającą się z pogruchotanej lokomotywy. Po pozostającym jeszcze jednym wagonie na torze przekonałem się, że samoloty niemieckie zrzuciły bomby zapalające na transport Czerwonego Krzyża pomimo, że wagony miały znaki rozpoznawcze. Jak się później dowiedziałem w tym transporcie znajdowało się pięćset żołnierzy rannych i pięć siostr. Widać tutaj namacalny dowód łamania ustaw międzynarodowych przez Niemcy. Ale nie ma czasu na rozmyślanie bo słysząc trąbkę, że za chwilę transport ruszy. Jedziemy dalej Sarny, Niemowicze byle prędzej pomścić się za bombardowany transport. Raptem transport zatrzymuje się w szczerym polu, wyglądamy z transportu czy nie upatrzymy samolotów niemieckich. W tle słysząc głos dowódcy kompanii – podoficerowie kompanii zwiadowców do mnie. Wyskakuje razem z kpr. Waligórą, śpieszę na odprawę „spocznij” pada rozkaz dc-kompanii, spojrział na nas wzrokiem przymglonym co się u niego zdarzało w chwili gdy był zdenerwowany. Zaczyna mówić – w dniu dzisiejszym oddziały bolszewickie przekroczyły granice naszego państwa, zajęli przed nami st.kol¹² [...] ¹³ w związku z tym dalsze poruszanie się jest niemożliwe, wyładujemy się natychmiast. Otrzymuję rozkaz ubezpieczenia wyładowującego się transportu z prawej strony. Godzinna 22-ga rozkaz przejścia ze stanowisk i dołączenia do kolumny, która wyruszyła przed dwoma godzinami; w tym rozkazie jest ostrzeżenie abym się miał na baczności gdyż Ukraińcy podburzeni przez bolszewików i występują czynnie z bronią w rękę przeciwko wojskom polskim. Po całonocnym marszu i małym odpoczynku gdzie w międzyczasie zjedliśmy śniadanie, kontynuujemy dalszy marsz. W przerwie dowiadujemy się, że nasz pułk trzeci KOP z Wileńską Brygadą Kawalerii ma się przedzierać na przełaj w Lubelskie gdzie mamy

¹² Skrót - st.kol - stacja kolejowa.

¹³ Fragment nieczytelny, najprawdopodobniej chodzi o stację kolejową Kostopol.

połączyć się z głównymi oddziałami, które rzekomo mają się tam znajdować. Jedziemy na czele pułku ubezpieczając go od czoła. Po kilkugodzinnej jeździe rowerem wjeżdżamy w słynne kamieniołomy kostopolskie¹⁴ skąd już widać sam Kostopol, gdzie mamy się zatrzymać, ponieważ nie mamy dalszych rozkazów. Zająłem stanowisko na jednej z ulic, gdzie żołnierze zaczynają opatrywać rowery i broń. W międzyczasie przychodzi jeden ze zwiadowców i melduje mi, że za pewną stodołą Ukraińcy coś podejrzanego czytają. Jak się okazało była to ulotka zrzucona przez bolszewicki samolot. Ulotka ta nawoływała do mordowania polskich żołnierzy, oraz zatruwania żywności. Odebrałem tę ulotkę oddając ją do dyspozycji d-cy kompani. Jadąc z kwatery d-cy kompanii zauważyłem, że jestem już obserwowany przez Ukraińców. Wtem wyskakuje jeden z grupy Ukraińców z żądaniem oddania mu tej ulotki. Zacząłem mu tłumaczyć, że takie ulotki są nie na miejscu, ale mało poskutkowało, dopiero rękojeść „Visa” zrobiła swoje. Korzystając z przerwy wybrałem się z kpr. Waligórą na zwiedzanie miasta - nic szczególnego, natomiast można było widzieć, bardzo wiele policji, urzędników państwowych, straż leśną itd. Po rozmowie z pewnym przodownikiem policji, przekonałem się, że podjudzani przez bolszewików Ukraińcy, napadali na posterunki policji i mordowali policjantów. Napływ księży i zakonnic do miasta z każdą chwilą wzrastał. Ale nie ma czasu na rozmyślanie, bo zostaję wezwany przez gońca do d-cy pułku, płk. Zająca – tutaj otrzymuję rozkaz udania się na patrol na zachód od Kostopola i sprawdzić czy w odległości 30 km. od Kostopola nie ma oddziałów bolszewickich. Biorę 25 – zwiadowców + 2 erkemy i po małej chwili słysząc szum trzewików po szosie. Po spatrolowaniu 25 kilometrów przejeżdżam do jakiejś większej wsi, której nazwy nie pamiętam. Gdzieś z odległości trzystu metrów zostaję przyjęty przez silny ogień karabinowy. Wiedziałem, że w tej wiosce nie ma bolszewików. A więc ogień pochodzi od band ukraińskich. Nie namyślając się wiele dałem rozkaz do otwarcia ognia, gdzie po kilku

¹⁴ W dwudziestoleciu międzywojennym w kamieniołomach tych pozyskiwano bazalt.

seriach banda zrewoltowanych Ukraińców zaczęła się wycofywać ze wsi. Pochwyciłem 10 – ciu Ukraińców z krwią na rękach, a po wykonaniu zadania oddałem ich do dyspozycji d-cy pułku. Po kilkugodzinnym odpoczynku ruszamy dalej. Stale kierując się na zachód. Po drodze mijamy wioski ukraińskie, gdzie ludność nastrojona do nas wrogo nie chce nas wpuścić na kwatery ani sprzedać paszy dla koni. Dopiero kolba karabinu albo błysk bagnetu robi swoje. Bardzo często mijamy wsie, gdzie były postawione bramy triumfalne dla wojsk bolszewickich. W pewnej większej wiosce jadąc na przedzie jako szpica, zauważyłem taką bramę i większą grupę ludzi, która na nasz widok nie uciekała, co się stale poprzednio zdarzało. Z grupy wyszedł Ukrainiec z czerwoną z kokardą, trzymał chleb i sól zaczyna do mnie przemawiać w języku ukraińskim. Strzał z pistoletu d-cy kompanii kładzie kres jego życiu, banda w panicznym popłochu rozpierzchła się. Po zniszczeniu bramy, aresztowaniu kilkunastu Ukraińców podpalamy wioskę. Jak się okazało Ukraińcy nie spodziewali się tutaj polskich oddziałów biorąc nas za wojska bolszewickie. Daleko za nami, słychać jeszcze było detonacje pocisków, które znajdowały się w płonących zabudowaniach. Coraz częściej na trasie naszego marszu spotykaliśmy pomordowanych w okrutny sposób żołnierzy polskich obdartych z mundurów, którzy bądź to odłączyli się od oddziału w czasie poprawiania rynsztunku lub napicia się wody. W związku z tym został wydany rozkaz, który nie pozwalał na oddalenie się od kolumny marszowej całym oddziałem jak i drużynami. Dnia 24¹⁵ (września) w godzinach popołudniowych ujrzelśmy miasteczko Kołki, gdzie według naszego wywiadu miały znajdować się większe bandy zrewoltowanych Ukraińców. Ale nikt nie spodziewał się, aby nas chcieli zaatakować. Nieostrożność tą przypłaciłmy 3 rannymi. Gdy znajdowaliśmy się 400 metrów od miasta, otrzymaliśmy bardzo silny ogień z ciężkich k.m i broni ręcznej. Natychmiast pod osłoną niewielkiego wzgórza szpica, którą dowodziłem rozwinęła się w tyralierę, rowery zostawiając na miejscu. Rozpoczęliśmy natarcie na

¹⁵ Według wszystkich zachowanych źródeł opisywane wydarzenia miały miejsce 20 września.

młyn, gdzie miały stanowiska trzy karabiny maszynowe. Ogień ukraiński nie był zbyt celny co moich żołnierzy rozochociło i kilkoma skokami dopadliśmy gniazd k.m. Kilka granatów wrzuconych do wnętrza młyna, a od razu młyn stanął w płomieniach, skąd Ukraińcy wyskakiwali, albo zostali przez moich żołnierzy zabici albo wzięci do niewoli. Po zdobyciu młyna łup szpiccy wynosił 2 – ckm. 30 k.b 20 wziętych do niewoli, 15 zabitych Ukraińców, straty w moich ludziach 1 ciężko ranny i 2 lekko. Po zdobyciu młyna otrzymuje rozkaz prowadzenia natarcia dalej. Z lewej i prawej strony widzę rozwijające się drużyny zwiadowców Od domu do domu, pojedynczo albo grupkami zdobywaliśmy każdy zaułek, każdą kamienicę, skąd z okien strzelali do nas Ukraińcy i Żydzi. Albo lali gorącą wodę na głowę albo wyrzucali butelki. Często trzeba było siekierami odbijać okiennice, któredy dostawało się na górne piętra, gdzie trzeba było wykurzyć strzelających Ukraińców. Po półgodzinnej walce osiągnąłem wylot ulicy i zająłem stanowisko nad Styrem gdzie miałem pod obstrzałem most, przez który zaczęły uciekać bandy ukraińskie. Ukraińcy widząc odciętą drogę, cofnęli się do miasta poddając się. Gdy mrok zapadł całe miasto znalazło się w rękach kompanii zwiadowców. Liczba wziętych do niewoli Ukraińców sięgała 150 nie licząc zabitych i rannych. Wymiar sprawiedliwości został wykonany szybko i sprawnie.¹⁶ O godz. 24 – tej przemaszerowaliśmy do[...]”¹⁷, miejscami wydawała się jakby wymarła, Ukraińcy uciekli z całym dobytkiem do lasu zatruwając niektóre studnie. Po przedsięwzięciu wszelkich środków ostrożności udaliśmy się na spoczynek. Ze wschodem słońca obudziły mnie strzały karabinowe, zerwałem się, myślę że znów atakują Ukraińcy, ale była to tylko wymierzona sprawiedliwość na aresztowanych Ukraińcach z Kołek. Po zajechaniu na miejsce śniadania, gdzie bardzo żywy udział przy obieraniu ziemniaków brały zakonnice i uciekinierzy, za co dostali syty obiad,

¹⁶ Według relacji podpułkownika Jana Lachowicza dowódcy 3 batalionu, 3 p.p KOP, tuż po zdobyciu Kołek na miejscowym cmentarzu rozstrzelano 35 ukraińskich dywersantów.

¹⁷ Fragment nieczytelny, najprawdopodobniej chodzi o miejscowość Kopyle znajdującą się po drugiej stronie rzeki Styr.

wyruszyliśmy w dalszą drogę, ale już naprawdę bojowo, gdyż bolszewickie oddziały na naszej osi marszu zorganizowały bardzo silny opór. Kompania Zwiadu została rozczłonkowana i wysłana na patrol. Po kilkugodzinnym patrolowaniu natknąłem się na patrol bolszewicki w sile 20 bolszewików z karabinami maszynowymi. Nie będąc widzialny na razie przez bolszewików rozdzieliłem swój patrol na dwie połowy. Jedną połowę z kpr. Rocznikiem zostawiłem na miejscu z zadaniem zwrócenia uwagi na bolszewików. Sam natomiast okrężną drogą uderzyłem z tyłu na niespodziewających się tego bolszewików. Widocznie myśleli, że mają z przeważającymi siłami do czynienia, bo poddali się bez żadnego oporu. W ręce mojego patrolu wpadło: 15 karabinów k.b i ciężki k.m i 12 jeńców. Z tym łupem dołączyłem do pułku, tutaj już pierwszy batalion spotkał się z silnym ubezpieczeniem bolszewickim, gdzie bardzo szybko zaskoczył je biorąc do niewoli kilkudziesięciu bolszewików i 12 samochodów napełnionych żywnością.¹⁸ Otucha wstąpiła w naszych żołnierzy, że tak łatwo dajemy sobie radę z bolszewikami i każdy chciał jak najprędzej uderzyć. Ale był to tylko wstęp. Batalion 3-ci na skutek bardzo silnego ognia artyleryjskiego i k.m bolszewików musiał się okopać. Z zeznań jeńców dowiedzieliśmy się, że opór bolszewicki składa się z trzech pułków piechoty i większej ilości czołgów, tak że bolszewicy mają trzykrotną przewagę nad nami. W międzyczasie na okopy 3 batalionu ruszyło natarcie bolszewickie poprzedzone kilkudziesięcioma czołgami. Tutaj zaczęły spełniać bardzo dobrze swoją rolę działka ppanc. Po zniszczeniu kilkunastu bolszewickich czołgów, bolszewicy wycofali się. Wysłali też przeciw nam nowocześniejszą broń – lotnictwo. Po piętnastominutowym bombardowaniu naszych pozycji bolszewicy myśląc, że zrobili swoje przeprowadzili znowu próbę natarcia, ale z takim jak poprzednio skutkiem. Straty w naszym oddziale są znaczne, m.in. zginął adiutant pułku por. [Wajtania]¹⁹, dowódca trzeciego batalionu ciężko ranny,

¹⁸ Zdarzenie to miało miejsce 21 września pod miejscowością Borowicze.

¹⁹ Nazwisko nieczytelne, podaje przypuszczalną pisownię.

²⁰ Nazwisko nieczytelne, podaje przypuszczalną pisownię.

d-ca plutonu k.m. st. sierżant [Ryluk]²⁰ odznaczony VM zginął jako celowniczy c.k.m na stanowisku. Z nastaniem nocy opuściliśmy stanowiska kierując się innymi drogami, stale w lubelskie. Odpoczywając w jednej z wiosek dało się słyszeć bardzo silny warkot czołgów. Natychmiast działka ppanc. zajęły stanowiska. Wtem zza zakrętu drogi wyjechał bolszewicki czołg z białą flagą. W odległości 200 metrów od wioski zatrzymał się. Na spotkanie wyszedł dowódca pułku z dowódcami batalionów. Jak się okazało przyjechał bolszewicki d-ca. dywizji z żądaniem poddania się. Dowódca pułku widząc beznadziejność sytuacji w jakiej znajdują się nasze oddziały podpisał kapitulację. Ale nasz żołnierz chciał walczyć dalej i tutaj niektórzy oficerowie i podoficerowie otworzyli na własną odpowiedzialność ogień do okrążających bolszewickich czołgów. Sytuacja była tragiczna, oddziały walczące widząc sytuację bez wyjścia zaprzestały walki. Niektórzy oficerowie z płaczem odbierali sobie życie, łamali szable. Żołnierz również płakał składając broń. Jak się okazało bolszewicy nie dotrzymali warunków kapitulacji. Rozbrojonych oficerów i starszych podoficerów oddali w ręce band ukraińskich, które bądź to rozstrzelali albo w okrutny sposób się mścili. Tak zakończył swoją karierę wojenną 3-ci p.p KOP, który zamiast walczyć z wrogiem zewnętrznym musiał bić się z własnymi obywatelami. Koniec.

*Wraga*²¹



Kompania „Selima” ćwiczy swoją sprawność bojową. Stoi Czesław Mużacz.

²¹ Pseudonim Czesława Mużacza z początków niemieckiej okupacji.

Dziewczyna z Łaskowa w Puszczy Solskiej w czerwcu 1944 r.



W dniu 27 marca 1944 roku hrubieszowski oddział BCh pod dowództwem Stanisława Basaja „Rysia” stoczył ostatnią bitwę na terenie powiatu hrubieszowskiego w rejonie Smoligów. Została zlikwidowana ostatnia baza na terenie powiatu, w której mógł kwaterować oddział partyzancki. Nasz batalion opuszczając swój teren zatrzymał się na odpoczynek w Lipowcu, pow. Tomaszów Lubelski. Przez tę miejscowość przebiegała kolejka wąskotorowa łącząca Woźuczyn, Łaszczów, Werbkowice, Hrubieszów. Przejeżdżający pociąg wykoleił się. W wagonach jechali niemieccy żołnierze. Wysiedli z pociągu i chcieli ustawiać wagony. Wywiązała się bitwa z plutonem zakwaterowanym bliżej torów. Bitwa rozwinęła się i trwała parę godzin. Po obu stronach byli zabici i ranni. Niemcy uciekli w stronę Werbkowic. Nasz oddział przygotowywał się do wymarszu. Wcześniej pochowano na brzegu lasu troje zabitych partyzantów, a wieczorem pozrywano tory kolejowe, zniszczono most, pozryzano słupy telefoniczne. Oddział przemieszczał się w stronę lasów biłgorajskich. Na kolejny odpoczynek zatrzymaliśmy się w niewielkiej wsi Karczew, otoczonej kępami lasów, o falistym terenie. Było to już Roztocze. Po paru dniach odpoczynku, przez Sosnową-Dębową, Siemierz, przedostaliśmy się do lasów zamojskich koło Bondryża. Biwakowano tu w lesie w szałasach wykonanych z gałęzi jodłowych i świerkowych. Legowiska również były z gałęzi iglastych. Ten zapach jodeł był nieodłączny przez dłuższy czas i wywołał w moim organizmie uraz zapachowy na kilkadziesiąt lat. W obozie prowadzono intensywne szkolenie bojowe i taktyczne.

Wszystkie dziewczęta oprócz ćwiczeń bojowych uczono opieki sanitarnej. Szkolenie sanitarne prowadziły wykwalifikowane pielęgniarki z Ludowego Związku Kobiet. W zakładzie produkcji mebli giętych w Bondyrzu zrobiono skrzynki sanitarne z wymalowanymi krzyżami. Stanowiły one apteczki, które nosiliśmy na plecach. Podczas postoju uporządkowano plutony. Część oddziału przemieszczono do pow. Krasnystaw, do lasów Bonieckich i tam intensywnie szkolono. Powołano szkołę podoficerską, prowadził ją Zenon Pielachowski „Dzierżyński”, przysłany z Komendy Głównej BCh. Część partyzantów mniej przydatnych i tych, którzy mieli się gdzie zatrzymać odesłano z oddziału. Zmniejszono stan liczebny oddziału, aby był łatwiejszy do zakwaterowania, wyżywienia i operatywniejszy w przemieszczaniach się i w akcjach. Zdarzyło się tak, że batalion kwaterował we wsi Górecko Kościelne. Partyzanci spali pod dachem, w stodołach i szopach. Zostałam tymczasowo oddelegowana do plutonu „Liścia”, w którym nie było sanitariuszki. Przyjęto mnie bardzo serdecznie. Na polecenie dowódcy plutonu urządzono mi spanie w alkierzu. Miałam miękki siennik napęczniony słomą. Było tak wygodnie spać. Chłopcy cieszyli się, że wśród nich chodzi dziewczyna, zmienia opatrunki, uśmiecha się. Po ćwiczeniach siadaliśmy na soczystej trawie i chłopcy śpiewali dla mnie „Dziś do Ciebie przyjść nie mogę” i inne piękne partyzanckie piosenki. Próbowano nawet śpiewać rubaszną piosenkę legionistów o sznurku i Karolinie, którą nauczył partyzantów „Szabla”, były legionista. Plutonowy „Liść” uznał, że nie przystoi tak śpiewać dla dziewczyny i piosenki nie dokończono. Na postoju w Górecku mieliśmy wyżywienie. Był chleb, ziemniaki i gotowana w kotłach wołowina. Kucharz wybierał mi najlepszy kąsek. Praliśmy w rzece ubrania, oczyszczaliśmy z insektów odzież i oddychaliśmy majowym powietrzem. W partyzantce nie tylko mnie darzono dużym szacunkiem. Wszystkie dziewczęta były pod troskliwą opieką dowódców, cieszyły się sympatią kolegów. Zawsze można było zwrócić się o pomoc i opiekę. Przyjemny okres biwakowania we wsi trwał tylko trzy dni. Na rozkaz dowództwa przenieśliśmy się w głąb

Puszczy Solskiej. Uczyniono to dla bezpieczeństwa wsi i ich mieszkańców, a także partyzantów. Samoloty ciągle prowadziły rozpoznanie terenu i śledziły ruchy oddziałów. Mieszkańcy wsi znajdujących się wokół Puszczy byli szczególnie narażeni na agresję ze strony Niemców i oddziałów kałmuckich. Plutony naszego oddziału często przy udziale stacjonujących w tym rejonie partyzantów radzieckich, czy miejscowych placówek BCh wykonywały różne akcje dywersyjne. Niszczono mosty, linie kolejowe, którymi zaopatrywano wschodni front, niszczone posterunki i urzędy. W dniu 25 maja 1944 r. oddział „Rysia” przy współudziale radzieckich minerów wysadził most na rzece Tanew, na szosie Biłgoraj – Tarnogród. Wcześniej koło Józefowa „Rysowcy” zniszczyli pociąg z amunicją, jadący na front. Na ogół partyzantom dokuczał głód. W jednej z akcji wykolejono pociąg z ładunkiem cukru. Przywieziono do obozu parę furmanek słodkiego ładunku. Jedliśmy go garściami popijając wodą. Na pniakach były nasypane kupki białego kryształu, służyły za pożywienie partyzantom i leśnym mrówkom. Kucharz ugotował jęczmienną kaszę i też posłodził cukrem. Słodka kasza jęczmienna jest niedobra, nie mogłam jej jeść.

Do zabezpieczenia tych terenów Niemcy skierowali oddział Kałmuków, zadaniem którego było szczególne chronienie toru kolejowego. W dniu 28 maja 1944 r. wybuchła duża bitwa nad Tanwią. Oddział Kałmuków chciał zlikwidować partyzantkę. W bitwie brały udział samoloty i czołgi. Potyczki z nieprzyjacielem trwały przez cały czas. Dnia 5 czerwca 1944 r. komendant batalionu, „Ryś” i dowódca partyzantki radzieckiej pułkownik Szangin zawarli umowę o wzajemnej pomocy i współdziałaniu. Obie strony zastrzegły sobie niezależność. W połowie czerwca komendant „Ryś” opuścił obóz i wraz z grupą partyzantów udał się na naszą starą bazę do Małkowa, aby przywieść ukrytą tam broń i beczki z żywnością, a konkretnie z mięsem, bo były w beczkach zakonserwowane. Dowództwo nad batalionem objął zastępca „Rysia” Antoni Warchał „Szczerba”. W tym czasie nastąpiło w Puszczy Solskiej opancerzenie lasu. Tam w hrubieszowskim okazało się, że UPA zrabowało te nasze magazyny

i amunicja nasza była zrabowana, i magazyny z żywnością. W tej sytuacji „Ryś” przybył z powrotem pod Polany ale do Puszczy Solskiej nie mógł się już dostać.

Zanim wkroczyliśmy w głąb lasu batalion nasz stoczył bitwę pod Bondyrzem. Rankiem 18 czerwca Niemcy podeszli pod nasze pozycje i wywiązała się ostra walka. Oddział nasz rozstawił się na wzniesieniu porośniętym lasem. Rozlokowanie linii frontu pozwoliło dowódcy „Szczergie” dokładnie obserwować przebieg bitwy. Linia niemiecka znajdowała się na niższym terenie, zaś linia naszego oddziału rozciągała się na skraju lasu, na wzniesieniu. Nie wszyscy partyzanci, głównie młodzi, wiedzieli, że na lufie karabinu istnieje celownik, wymagający prawidłowego ustawienia szczerbinki do muszki, określającej odległość strzału. „Szczerba” dostrzegł, że wiele kul oddawanych przez jego wojsko leci do nieba lub na przedpole – w ziemię. Biegał po linii i wrzeszczał: *„Wy s...syny, jak strzelacie, ustawić celownik”*. Wcześniej brakowało czasu na szkolenia i ćwiczenia. Często trudności pokonywano zdwojonym kosztem i zdwojonym wysiłkiem. W rozmieszczeniu naszych plutonów znalazłam się obok dowódcy szkolnego plutonu Józefa Tuchowskiego „Ambitnego”. Zналиśmy się wcześniej ale tym razem rozwinęła się miła rozmowa. „Ambitny” zabawiał mnie różnymi żartami. Zachwycił się urodą, odwagą i moim refleksem. Mówił, że bardzo mu się podobam i chciałby pogłębiać naszą znajomość i częściej się spotykać. Był ode mnie znacznie starszy, imponował mi. Nie zdążyłam odpowiedzieć. Padły strzały i rozkaz: *„biegiem do ataku”*. „Ambitny” ze swoim plutonem pobiegł do przodu, a nasz pluton „Księżycy” skierowano na lewe skrzydło. Po pewnym czasie trwającej bitwy Niemcy wsiedli na samochody i uciekli. Ktoś zawołał, że „Ambitny” jest ranny, a ja zapytałam gdzie się znajduje? Wskazano mi ręką, że wiozą go do polowego szpitala. Przybiegłam do stojącego wozu, leżał na słomie z wyrazem cierpienia. Poznał mnie i chwycił za moją rękę, mówiąc: *„Jesteś kochanie, widzisz co się stało, jestem ciężko ranny w brzuch, bardzo cierpię. W polowym szpitalu nie mają warunków do ratowania ciężko rannych. Skróć mi cierpienie,*

błagam". Wskazał na swój pistolet w kaburze leżącej przy jego boku. Z rozpacz i bezradności zeszywniałam. Mam obowiązek udzielić pomocy, ale zastrzelić i skrócić wielkie cierpienie, czy pozostawić w beznadziejnym życiowym bólu? Przytuliłam jego dłoń do swojej twarzy i ze skurczonym sercem odpowiedziałam: „*Nie mogę tego zrobić*". Przybiegły jego sanitariuszki, wskoczyły na wóz, zawołały na furmana i z pośpiechem odjechali. Po dwóch dniach ze szpitala powróciły nasze sanitariuszki ze smutną informacją – „Ambitny” nie żyje. Po bitwie pod Bondyrzem nasz batalion przemieścił się w głąb Puszczy Solskiej. Zlokalizowano nas obok obozu oddziału szkoleniowego AK. Z zazdrością patrzyliśmy na to zgrupowanie. Byli dobrze ubrani, posiadali prawie jednolite umundurowanie, dobre buty. Nasi żołnierze nosili różnorodne ubrania, w dużej ilości niemieckie, zdobyte w boju, zniszczone i brudne. W pobliżu był też oddział partyzantki radzieckiej. Byli dobrze zorganizowani, ubrani po wojskowemu. Rosjanie regularnie otrzymywali zrzucone samoloty. Ich samoloty lądowały w określonych miejscach, przywoziły wyposażenie dla zgrupowania, zabierały rannych. W obozie radzieckim zauważyłam podobną do mnie młodzieńką, drobnej budowy dziewczynę, mocno kulejącą. Opowiadano, że poprzedniej nocy zrzucono ją z samolotu. Zawiesiła się ze spadochronem na sośnie i zwichnęła nogę. Była to dziewczyna obsługująca radiostację. Myślałam wtedy, że ja przecież jestem w swoim kraju, wśród bliskich mi ludzi, a ona z głębi Rosji. Siła wojny określiła nam jedno zadanie – walkę ze wspólnym wrogiem.

W Puszczy Solskiej wszystkie oddziały AK i BCh podporządkowano jednemu dowództwu. Dowództwo objął major Edward Markiewicz „Kalina”, Inspektor Zamojskiego AK. W drugiej połowie czerwca Niemcy otoczyli las potrójnym pierścieniem. Pośpiesznie przygotowywano się do zlikwidowania skoncentrowanych oddziałów partyzanckich.

Już na wiosnę 1944 r. wyraźnie zanosilo się na szybkie wkroczenie armii radzieckiej. Na Lubelszczyźnie lasy pełne były oddziałów partyzanckich, które paraliżowały komunikację wroga na zapleczu

frontu, przerywały rytmiczną dostawę broni, rozбивały niemieckie jednostki, przeprowadzały akcje dywersyjne, niszczyły administracje okupanta.

Działania Niemców na bezpośrednim zapleczu swojej walczącej armii miały na celu oczyszczenie z partyzantów. Sytuacją, jaka wytworzyła się na Lubelszczyźnie zainteresowały się najwyższe władze Generalnego Gubernatorstwa i sztaby wojskowe Rzeszy. Zaplanowana została wielka operacja pod kryptonimem „Sturmwind” (Wicher), której zadaniem było ostateczne zniszczenie silnych zgrupowań partyzanckich ześrodkowanych w Lasach Janowskich i w Puszczy Solskiej. Pierwsza faza tej operacji skierowana na Lasy Janowskie nosiła kryptonim „Wicher I”. Druga operacja skierowana na Puszcę Solską – „Wicher II”. Dowództwo okręgu wojskowego SS skierowało około 30 tys. regularnej armii z artylerią, czołgami i lotnictwem. Dowódcą operacji został generał Haenicke – szef Okręgu Wojskowego Generalnej Guberni.

Podczas akcji „Wicher I” Niemcy usiłowali zlikwidować partyzantkę w Lasach Janowskich, gdzie skupione były głównie oddziały radzieckie i AL. Po parodniowych walkach Niemcy ustąpili. Partyzantka radziecka i skupione tam oddziały polskie przeniosły się do Puszczy Solskiej. Sytuacja dla zgrupowanych tu oddziałów partyzanckich stała się bardzo trudna. W okrażeniu istniały dwa odrębne zgrupowania, majora „Kaliny” z partyzantką polską i podpułkownika Prokopiuka z partyzantką radziecką. Istniała też samodzielna partyzantka Armii Ludowej. Rosjanie przyszli z Lasów Janowskich i razem z nami tutaj byli. Z jednej strony był obóz partyzantki polskiej, a z drugiej strony był obóz partyzantki radzieckiej. Zgrupowanie radzieckie dwukrotnie usiłowało wydostać się z okrażenia. Jedną z tych akcji wspierał nasz batalion. Był ustawiony na zabezpieczenie zaplecza tego przebicia. Nie udało się wtedy to pierwsze przebicie jak wiadomo. Myśmy się cofnęli i Sowietci też się cofnęli i się nie wydostali. Po bitwie, w nocy padłam zmęczona z apteczką pod głowę koło furmanki naszego taboru i twardo zasnąłam. Ktoś mnie wyciągnął spod furmanki

i kazał mi coś robić. Zziębnięta zauważyłam małe ognisko pod świerkiem, pobiegłam tam i ogrzewałam ręce. Sanitariuszki rosyjskie zdejmowały rannym polowe opatrunki. Trzeba było nałożyć nowe, a one nie miały świeżych opatrunków. Coś do mnie mówiono, a mnie majaczyły się czerwone taśmy. Ktoś się zorientował, że ja śpię. Rozbudzono mnie klepnięciem po twarzy. Oprzytomniałam i zabrałam się do roboty. Robiłam wtedy opatrunki pięciu rannym Rosjanom, których przywieźli po akcji do naszego batalionu. Dwóch było rannych w brzuch, pozostali w ramię, rękę i nogę. Martwiłam się co dalej z nimi będzie. Ich oficer mi odpowiedział, żebym się nie martwiła, bo w nocy przyleci samolot i ich zabierze. Miałam apteczkę dobrze zaopatrzoną w środki opatrunkowe. Wcześniej, podczas bombardowania rozbita została apteka AK. Podczołgałam się do rozbitych skrzyń i mimo silnego ostrzału, nabrałam opatrunków i leków ile tylko zmieściło się w jakąś ścierkę i apteczkę. Trochę opatrunków dałam swoim koleżankom, a resztę upchałam do swojej skrzynki. Wśród naszych ludzi krążyły pogłoski, że Sowietci przygotowywali się do kolejnego przebiecia i to hasło silnie na nich oddziaływało. Antoni Warchał „Szczerba”, Feliks Drzygało „Bruchalski” i inni pojechali do sztabu AK „Kaliny” z wnioskiem, że nasz oddział przyłączy się do oddziału radzieckiej partyzantki i wydostanie się z lasu. Ktoś dał informację do naszego oddziału, że grupa tych przedstawicieli naszego batalionu została aresztowana przez „Kalinę”. U nas nastąpiło ostre pogotowie, pójdziemy odbijać swoich od swoich. Po południu tamci wrócili od „Kaliny” i nastąpiło rozluźnienie. Przesada to była, że aresztowali, może się zatrzymali, może konferencja dłużej potrwała. No ale ktoś tam dał taki sygnał. No to u nas się poderwali, że trzeba ich odbić. No a oni wrócili. Jakby ich aresztowali, toby aresztowali ale przecież żadnego aresztowania nie było. Wtedy padł rozkaz dowódcy „Kaliny”, że wszystkie oddziały mają ściśle w dyscyplinie pozostać pod jednym kierownictwem i nie wolno robić jakichś samodzielnych ruchów, nie wolno samodzielnie przygotowywać i podejmować żadnych działań bojowych. Był rozkaz konkretnie: jeden sztab i jedno dowództwo, i jedne komendy,

i już wtedy nie było mowy o żadnych tam ciągotach w lewo, czy w prawo. Zostaliśmy do końca, do ostatnich walk, do ostatniej bitwy.

W drugiej połowie czerwca Niemcy przystąpili do akcji „Wicher II”. W tym czasie w Puszczy Solskiej stacjonowało około 3 tysiące partyzantów radzieckich i około 2 tysiące partyzantów polskich. Taka siła na zapleczu niemieckiego frontu mogła stworzyć duże przeszkody cofającej się armii. Niemcy zorganizowali specjalną jednostkę składającą się z sił zabezpieczających okupowany teren oraz oddziałów wojska frontowego z udziałem lotnictwa, czołgów, artylerii i broni maszynowej – ok. 30 tysięcy żołnierzy. Otoczyli Puszcę próbując ją podzielić na segmenty, aby łatwiej dokonać likwidacji partyzanckich oddziałów. Rozpoczęły się bitwy w poszczególnych częściach lasu.

Partyzantka radziecka 23 czerwca powtórzyła próbę przebicia i wydostała się z okrążenia. Oddziały polskie pozostały i usiłowały odpierać natarcia nieprzyjaciela. Zapadła decyzja o przemieszczeniu się w rejon uroczyska Maziarze z największymi bagnami znajdującymi się w Puszczy Solskiej, z nadzieją przetrwania. Wcześniej zlikwidowano tabory, bo konie nie mogły chodzić po bagnach i ciągnąć wozów. Rozwiązano szpital polowy. Poszczególne oddziały zabrały swoich rannych i transportowały ich na noszach zrobionych z wyciętych kołków spiętych kocami lub płaszczami.

Mój dowódca plutonu „Księżyc” był ranny powierzchownie w brzuch ale był taki tęższy człowiek. Przyszedł do mnie wieczorem i mówi, że rana bardzo go piecze i że trzeba zmienić opatrunek. Powiedziałam mu, że jest ciemno i jak mam zrobić ten opatrunek, a on odpowiedział, że w pobliżu pod świerkiem pali się małe, zamaskowane ognisko. Wzięłam tę moją skrzynkę sanitarną i idziemy do tego ogniska żeby cokolwiek widzieć. Okazało się, że przy tym ogniu siedział sztab, „Kalina” i kilku oficerów. Zanim oni zorientowali się, że ktoś podchodzi to „Księżyc” już opuścił spodnie. Zobaczyli opatrunki i dziewczynę koło rannego ze skrzynką sanitarną więc pozwolili nam pozostać. Jeden z oficerów miał na czole sporej

wielkości ranę, bez opatrunku. Chciałam założyć mu opatrunek ale odmówił. Wobec tego zajęłam się udzielaniem pomocy swojemu dowódcy. Zanieczyszczona rana ropiała i musiałam ją oczyścić i założyć nowy opatrunek i bandaż. Tymczasem major „Kalina” nad rozłożoną mapą objaśniał oficerom lokalizację i sytuację w jakiej znajduje się zgrupowanie. Mówił, że to jest trzecia ofensywa Niemców na Puszcę Solską. W pierwszej ofensywie Niemcy ostrzelali brzegi lasu, w drugiej częściowo weszli w las. Za trzecim razem wdarli się daleko w las ale nasze zgrupowanie znajduje się w największych bagnach Puszczy Solskiej i że tutaj nie ma takiej możliwości żeby Niemcy do nas dotarli, a my musimy przetrwać określony czas. Powiedział również, że są jeszcze w obozie dwa konie, które należy zabić i dać po kawałeczku mięsa żołnierzom aby je upiekli na zamaskowanych ogniskach i musimy przetrwać. Tak tłumaczył tym swoim. Czyli „Kalina” rozumiał z tego wniosek, że my w tych bagnach przetrwamy, że Niemcy nie pójdą w bagna.

W naszym zgrupowaniu byli koledzy mojego ojca, Seweryn Kaczała i Józef Bakoń, doświadczeni żołnierze. Bywali w naszym domu, razem z ojcem organizowali ruch oporu. Pewnego dnia, gdy już wiedzieliśmy, że Niemcy coraz bardziej zaciskają pierścień okrążenia natknęłam się na Seweryna Kaczałę, który siedział na pniaku i głośno płakał. Podeszłam do niego i spytałam: Co się dzieje? On przygarnął mnie do siebie, posadził na kolanach jak małe dziecko i przytulił do piersi. Staralam się go jakoś pocieszyć dobrym słowem ale on powiedział, że jestem jeszcze młoda i nie rozumiem co się dzieje. W dalszym ciągu szlochając mówił do mnie, że z tego piekła nikt żywy nie wyjdzie. Mówił, że mojemu ojcu zostanie jeszcze troje dzieci, a on swoim nie dał nawet nazwiska pozostawiając ich matkę z dwojgiem dzieci w obcym środowisku. Później, już po wojnie spytałam o to ojca, bo przecież dobrze się znali, ale odpowiedział mi, że nie wie dlaczego on nie związał się formalnie małżeństwem. Kaczała zgodnie z przeczuciami poległ w Puszczy Solskiej, a mnie przez całe życie towarzyszy zasada, by ważne problemy załatwiać we właściwy sposób i w odpowiednim czasie.

Kluczyliśmy po bezdrożach lasu, po moczarach, błocie, wodzie i krzakach. Co pewien czas zmieniano rozkazy: okopać się, wkrótce zmiana kierunku marszu, przedostać się na polanę, okopać się i znów zmiana kierunku marszu. Nasi żołnierze nie wiedzieli, gdzie się znajdują, dlaczego tak kluczymy i czy dojdzie wreszcie do przebicia z okrążenia. Kolejny raz pojawiają się samoloty, bombardowanie i ostrzał artyleryjski. Linia partyzantów rozciągała się wzdłuż brzegu leśnej łąki. Ktoś krzychał: „*Sanitariuszka, tutaj jest ranny!*” Byłam blisko więc zapytałam: „*Z jakiego oddziału?*” Wtem zza moich pleców ktoś wrzasnął: „*Jak cię kopnę w d... to się dowiesz z jakiego oddziału! To ranny żołnierz, rozumiesz?*” Odpowiedziałam: „*Tak jest!*” Natychmiast znalazłam się na miejscu wezwania. Chłopak jęczał, a jego noga bardzo krwawiła. Rozciąłam nogawkę, założyłam ucisk i duży opatrunek hamujący krwawienie. Brakowało już środków opatrunkowych. Sądziłam, że należy oszczędzać i opatrywać tylko swoich z naszego batalionu, a zasady są inne. W bitwie udziela się pomocy wszystkim potrzebującym. Na zawsze zapamiętałam słowa oficera, który chciał mnie kopnąć. Dalej na linii został ranny w obie nogi Zenon Pielachowski „Dzierżyński”, komendant Szkoły Podoficerskiej. Tak, jak dla innych rannych zrobiono mu nosze z dwóch kołków spiętych płaszczami. Położono na tym jakiś koc i rannego „Dzierżyńskiego”. Sanitariuszka jego oddziału, Irena Piskorska „Szarotka” nie odstępowała na krok ukochanego chłopaka. Gdy nosze leżały na darni, klęcząc ocierała pot z czoła i zwilżała spragnione usta rannego, a w czasie marszu poprawiała opadające mu wciąż ręce. W nocy 24 czerwca nastąpiła zmiana dowódcy zgrupowania. Major „Kalina” odszedł gdzieś od zgrupowania i przepadł bez wieści. Różnie na ten temat mówiono. Krążyły pogłoski, że zastrzelili go Niemcy, ale mój zaprzyjaźniony kolega z naszego batalionu Władek, Kwiatkowski „Topola”, który należał do sztabu „Rysia” i był dowódcą plutonu, opowiedział mi o wydarzeniu, którego był świadkiem. Był na patrolu i w odległości około 2 km od miejsca lokalizacji naszego oddziału, trafił na ciało martwego „Kaliny”. Leżał koło jakiegoś samochodu, bez munduru i czapki. W niedalekiej odległości zobaczył

na koniu Jana Kryka „Topole”, dowódcę oddziału AK i członka sztabu „Kaliny”. Spojrzeli sobie w oczy i tamten „Topola” rozłożył ręce w geście bezradności. Władek przypuszczał, że „Kalina” oszalał i biegł w stronę Niemców, a „Topola” go zastrzelił. Najprawdopodobniej nigdy się już nie dowiemy, czy tak rzeczywiście było.

Nowym dowódcą zgrupowania został Konrad Bartoszewski „Wir”. Natychmiast podjęto decyzję o przebijaniu się z okrążenia. Oddziały rozlokowały się wzdłuż rzeki Sopot na styku z rzeką Tanew, na skraju uroczyska Maziarze. Po drugiej stronie rzeki, na nieco wyższym brzegu były trzy linie wojsk niemieckich. Stworzono grupę szturmową zbierając ludzi z bronią maszynową ze wszystkich oddziałów. Zadaniem tej grupy było przerwanie okrążenia, utworzenie luki w pozycjach niemieckich, aby pozostali mogli się wydostać z kotła. Nasz pluton sforsował Sopot i opanował pierwszą linię nieprzyjaciela. Następnie mieliśmy przebiec łąkę. Po rozciągnięciu się tyralierą w poprzek łąki, nasz pluton dostał się pod silny ostrzał nieprzyjaciela. Serie z broni maszynowej skosiły kilkudziesięciu moich kolegów, z dowódcą „Księżycem” na czele. Niemcy zastosowali takie dziwne oświetlenie. Myśmy się pierwszy raz z takim oświetleniem zetknęli. To były takie wystrzelone przez Niemców race, których światło zawisło przez pewien czas na niebie i było widno jak w dzień. Dzięki temu widzieli jak na dłoni nasze pozycje i mogli celnie strzelać. Zgodnie z szykiem wojskowym, ja jako sanitariuszka i podchorąży naszego plutonu Jurek Burdzanowski „Kołodziej”, szliśmy na końcu. Jak się ukształtowała tyraliera na tej łączce to myśmy byli jeszcze w krzakach, jeszcześmy się na tę łączkę nie wydostali i wtedy padły salwy niemieckich karabinów maszynowych po naszej linii i już się nikt nie podniósł. Myśmy we dwoje tylko z tego plutonu zostali. Jurek dostał postrzał w prawe przedramię. Cofnęliśmy się w krzaki i tam prowizorycznie zatamowałam mu krwawienie. Na nic innego nie było warunków. Bój był tak silny, że sypały się gałęzie cięte kulami. Ogień rozrywających się min, broni maszynowej, granatników był straszny. Nasi strzelali z czego kto miał. Powstała łuna ognia, dym i smród prochu. Jęki rannych przeszywały serca żyjących.

W pobliżu krzyczał Gienek Zieleniak, któremu mina oberwała obie nogi. Część grupy z bronią maszynową wydostała się z matni, reszta oddziałów padła lub została zepchnięta i cofała się w głąb bagien i moczarów. W kolejnych dniach Niemcy metodycznie, sektor po sektorze, likwidowali pozostałe jeszcze w lesie grupy partyzantów. Było słyszeć pojedyncze strzały i szczekanie psów. Biegliśmy z chorążym w głąb lasu. Napotkaliśmy chłopca z naszego batalionu, w wieku ok. 12 – 13 lat, którego nazywaliśmy „synem pułku”. Gdzieś takie zbłąkane dziecko przyporządkowali do oddziału. Chłopak się cieszył i mówił, że on jest adiutantem komendanta „Rysia”, że on tu ma wielkie prawa, to mu dajcie, tamto mu dajcie. On biegł szybko i bardzo głośno płakał. Chcieliśmy go zatrzymać i do siebie przyłączyć żeby go jakoś ratować. Widocznie oszalał, bo nie dał się zatrzymać tylko machając rękami szybko pobiegł.

Wycofując się w głąb lasu, natrafiliśmy na sporej wielkości bagienne jezioro, z rzadka porośnięte krzakami wierzby. Weszliśmy na środek pod duży, gęsty krzak i zanurzyliśmy się po głowę w błocie pokrytym wodą. Z krzaków mieliśmy dobrą widoczność i wkrótce koło naszego jeziora pojawili się Niemcy. Szli gęstą tyralierą z psami, w długich, gumowych butach i z bronią gotową do strzału. Chorąży podał mi granat i polecił wyciągnąć zawleczkę, a gdyby Niemcy nas wypatrzyli zwolnić przycisk. Nie zauważyli nas i z ulgą zabezpieczyłam granat ponownie zawieszając go na gałęzi powyżej wody.

Po południu nadeszła druga obława z przeciwnej strony, także z psami i w długich butach. Ponownie odbezpieczyłam samobójczy granat i czekałam na zbliżającą się obławę, ale na szczęście i tym razem nas nie dostrzeżono. Podczas obławy Niemcy zabijali wszystkich napotkanych partyzantów, ukrytych w krzakach, w koronach jodeł i świerków. Taki sam los spotykał ludność cywilną z pobliskich wiosek kryjącą się w lesie.

Wieczorem ucichły strzały i szczekanie psów. Wyszliśmy z jeziora, wycisnęłam wodę z naszych ubrań i wyciągnęłam swoją skrzynkę sanitarną z wody. Przejrzałam jej zawartość i stwierdziłam,

że wszystko jest mokre, brudne i nie nadaje się do opatrunków. W rozwiniętą gazę zabrałam słoiki z lekami przeciwbólowymi i przeciwwakacyjnymi oraz pudełeczka z maściami. Resztę wraz z apteczką wrzuciłam ponownie do wody. W wodzie zostawiłam też swój zrzutowy automat – sten, który należał wcześniej do jakiegoś partyzanta z ochrony sztabu. Zabrałam ten automat z bitewnego pola. Chorążemu podałam przeciwwakacyjną tabletkę, którą popił bagienną wodą i poszliśmy w nieznane, byle dalej od miejsca grozy. Niebawem spotkaliśmy Stefana Macybułę „Maszynistę” i Stefana z Mienian, chłopaków z naszego oddziału, ale z grupy szturmowej karabinów maszynowych. Dalej szliśmy mozolnie razem. Spotkaliśmy jeszcze dwóch naszych partyzantów, Wojciecha Stadnickiego „Szablę”, byłego legionistę i Stacha Szlendaka z mojej wsi Łasków. Komendę nad naszą małą sześćoosobową grupą przejął „Maszynista”. Wszyscy byliśmy bez broni, z trawiącą nas gorączką. Wodą z bajor, cedzoną przez chusteczkę zwilżaliśmy jamę ustną. Szliśmy wzdłuż leśnej drogi. Z brzaskiem moi starsi koledzy uznali, że musimy ukryć się na nadchodzący dzień, aby uniknąć spotkania z Niemcami. Opodał rósł młody sosnowy las, przekopany rowami melioracyjnymi, z wierzchu zarosłymi darnią. „Maszynista” rozprowadził nas i ukrył w tych dołach po jednej osobie, starannie przykrywając uniesioną do góry darnią. Przez cały dzień słyszeliśmy warkot motocykli, na których Niemcy patrolowali okoliczne drogi. Tak minął kolejny dzień. Wieczorem, pogryzieni przez mrówki i inne owady, wyszliśmy z ukrycia. Każdy z nas miał gorączkę, języki mieliśmy nabrzmiące, oczy piekące, a silne pragnienie nie dawało spokoju. Woda w przydrożnych rowach roila się od larw komarów. Przez chusteczkę cedziłam tę wodę do menażki i zwilżałam usta. Woda z bajora jest mdła, gęsta i bardzo niesmaczna, ale spierzchnięte usta choć trochę zwilżała. Podjęliśmy dalszą, mozolną wędrówkę wzdłuż leśnych dróg, aż o zmroku usłyszeliśmy ryk krów, co oznaczało, że w pobliżu musi być jakaś wieś. Idąc dalej spotkaliśmy mężczyznę idącego do lasu, który palił pachnącego papierosa. Okrążyliśmy go, aby nam nie uciekł. Zaczęliśmy go wypytывать, gdzie jesteśmy, jaką to wieś słysząc

i co się dzieje na brzegu lasu. Opowiedział, że idzie do „swoich” ukrytych w lesie, że w pobliżu jest wieś Susiec, że we wszystkich wsiach okalających Puszcę stacjonuje niemieckie wojsko, które na motocyklach i pieszych patrolach pilnuje i łapie wychodzących z lasu ludzi. Poinformował, że w pobliżu jest kilka mieszkań kolonii Susiec, nie objętych przez Niemców. Zwolniliśmy zatrzymanego i ruszyliśmy dalej, aż doszliśmy na brzeg lasu, do pasa drzew powalonych wiatrołomem. W oddaleniu od drogi ukryliśmy się pojedynczo w gęstych konarach świerków i tak przesiedzieliśmy cały dzień. Znowu słyszeliśmy Niemców na motocyklach, patrolujących drogami okoliczny las. Wieczorem wyszliśmy na brzeg pól i udaliśmy się do kolonii Susiec. W pierwszym domu nie było nikogo, napiliśmy się tylko wody. W drugim również nie było nikogo, ale doskwierający nam głód zmusił nas do szukania po garnkach. Chleba nie było, ale w garnkach znaleźliśmy gotowane ziemniaki i jakieś kluski. Zjedliśmy je garściami prosto z garnków i popiliśmy do woli wodą. W trzecim mieszkaniu zastaliśmy trzy wystraszone kobiety. Zorientowały się, że jesteśmy rozbitkami, dały nam wody i po niewielkim kawałku chleba, bo nic innego nie miały. Poinformowały, że cały las jest okrążony i pilnowany przez niemieckie wojsko. Przerażone pokazywały na rozciągającą się opodal wieś, w której stacjonuje bardzo dużo niemieckiego wojska. Powiedziały abym jutro przyszła po jedzenie. Poprosiłam o bandaż, bo mam rannego. Dały mi kilka zrobionych z płótna. Nie było innej rady, musieliśmy wrócić do wiatrołomów. Nazajutrz wieczorem udałam się z najmłodszym partyzantem po jakieś jedzenie do tego trzeciego domu. Tam była już dla nas przygotowana kawa i suchary.

W tym mieszkaniu oczekiwał na nas wysłany przez miejscową placówkę chłopiec w wieku około 14 lat. Powiedział, że ma rozkaz umieścić nas w przygotowanych w lesie bunkrach. Poszedł razem z nami i wprowadził nas na dość wysoką skarpe. Wskazał dwa zamaskowane wходы do bunkrów, które były oblane naftą, aby nas psy nie wywęszyły. Bunkry były wyścielone jodłowymi gałęziami i posiadały mały wietrznik ukryty w krzaku. W tym ukryciu

przebywaliśmy przez cztery doby. Każdego wieczora polnymi ścieżkami chodziłam do wskazanego domu po suchary i kawę. Dnie spędzaliśmy leżąc pod ziemią, a nocą wychodziliśmy na zewnątrz, bo w bunkrze brakowało świeżego powietrza i unosił się duszący, intensywny zapach jodłowych gałęzi. Panujący w nich zaduch, odór przepoconych ubrań i od dawna nie mytych ciał sprzyjał mnożeniu się insektów, które bezkarnie na nas żerowały. Któregoś wczesnego ranka, gdy byliśmy jeszcze na zewnątrz bunkrów, brzegiem lasu przechodził trzyosobowy niemiecki patrol. Nie zauważył nas siedzących w krzakach. W popłochu skoczyliśmy do naszego schowka. Gdy kolejny raz przyszedł po zaopatrzenie, poinformowano mnie, że Niemcy ściągają łącznościowe kable i przygotowują się do odjazdu. W następnym dniu przybiegł znajomy chłopiec i polecił, aby cała nasza grupa, wieczorem stawiała się do wskazanego domu. Tam oczekiwali nas trzech przedstawiciele miejscowej placówki AK. Przedstawili się i powiedzieli, że prowadzą rejestrację rozbitków z Puszczy Solskiej. Zarejestrowano nas i ustalono, dokąd każdy z nas zamierza się udać. Przypomniałam sobie, że znajomi, których poznałam w dzieciństwie podczas odwiedzin u dziadka Kuca w Horoszczykach, mieszkają teraz w powiecie tomaszowskim w Pańkowie. Wskazano mi kierunek i określono odległość na około 15 km. Do mojej grupy „ocalałych” należy dołączyć Władysława Kwiatkowskiego „Topole”, jednego z dowódców plutonów w batalionie „Rysia”. Ukrył się pod korzeniami wywalonego drzewa. Z lasu wywiózł go chłop, który zabierał świerkowe gałęzie. Ukrył go w przyzbie gałęzi ułożonych na wozie i szczęśliwie przywiózł do wsi. Inny partyzant, Henryk Otręba po wydostaniu się z lasu usiłował przyłączyć się do chłopców pasących bydło. Niemcy dostrzegli go i zabrali do Biłgoraja, a następnie wraz z innymi wywieziono go do obozu na Majdanku koło Lublina. Szczęśliwie dotarłam do Pańkowa i zastałam tam znajomych. Wiedzieli, że byłam w Puszczy Solskiej. Oczyszczili mnie z pasożytów i przebrali w czyste ubranie. Wreszcie się wyspałam i najadłam do syta. Na podrapanych, pokaleczonych w krzakach i bagnach łydkach potworzyły mi się liczne ropiejące

rany. Wymoczyłam nogi w naparze z rumianku i odpoczywałam. Po dwóch tygodniach okazyjną furmanką z panem Jasińskim z Horoszczyca, czasowo zamieszkującym w Pańkowie, pojechałam do Tyszowca, a tam na Podborzu w stodole kwaterowała moja rodzina, do której dotarła wiadomość o mojej śmierci w Puszczy Solskiej. Jak się pojawiłam to była wielka konsternacja, skąd się wzięła dziewczyna, której jakoby już miało nie być. W tym czasie Niemcy zaostrzyli kontrolę tożsamości, zwłaszcza wśród młodych ludzi. Dokumenty osobiste były więc konieczne. Podczas mobilizacji i koncentracji w Puszczy Solskiej wszystkim partyzantom zabrano dowody osobiste i najprawdopodobniej je zniszczono. W Polanach organizowano tzw. „biuro” do wydawania partyzantom fałszywych dokumentów. Do tych dokumentów niezbędne były fotografie, a ja nie miałam żadnej. W Pańkowie zebrała się mała grupa młodych ludzi w podobnej sytuacji. Ktoś zorganizował furmankę i pewnego poranka wyjechaliśmy do odległego o siedem kilometrów Tomaszowa, gdzie oczekiwał nas umówiony fotograf, który miał zrobić odpowiednie fotografie. Wyprawa nie powiodła się, gdyż parę kilometrów przed Tomaszowem natknęliśmy się na kontrolny posterunek. Niemcy sprawdzali ludzi udających się do miasta. Natychmiast zeskoczyliśmy z furmanki i rozsypaliśmy się po obu stronach drogi, po polach i rowach. Natomiast nasz furman błyskawicznie zawrócił i uciekł przed siebie. Wróciliśmy do Pańkowa, każde osobno na piechotę. Dokumentów nie można było zrobić. Około 25 lipca 1944 r., w nocy przeszedł front. W Tyszowcach nad rzeką rozegrała się bitwa. Między osadą Tyszowca a Podborem na łące, koło rzeki Huczwy było bezpośrednie starcie żołnierzy radzieckich z Niemcami. Wczesnym rankiem poszłam na pobojuwisko, ale rannych nie napotkałam. Na polu bitwy leżeli polegli w walce radzieccy żołnierze i wiele porzuconej broni. Wybrałam pięć najlepszych automatów, „pepeszaków” z czystymi magazynkami, podłużnymi i z dyskami. Cały ten łup ściągnęłam do rzeki i zatopiłam w wodzie. Po zapadnięciu zmroku poprosiłam dwudziestoletniego syna naszej gospodyni Pawła, aby mi pomógł przynieść ukryte automaty. Zanieśliśmy je do naszej

stodoły, a następnego dnia po starannym oczyszczeniu ukryliśmy w snopkach. Paweł prosił mnie o jeden automat, ale wyjaśniłam mu, że broń przeznaczam dla kolegów partyzantów, którzy pójdą w moje rodzinne strony oczyszczać teren z oddziałów UPA, aby tamtejsza ludność mogła wracać na swoje siedliska. Jednak Paweł tak nalegał, że jeden automat mu w końcu dałam. Wkrótce okazało się, że Paweł zgłosił się do miejscowej placówki AK i zarejestrował się razem z automatem. Kilka dni po wyzwoleniu przybył do mnie z kolegami Stach Wawruch z Mircza, żołnierz oddziału BCh „Rysia”. Razem walczyliśmy w lasach w Puszczy Solskiej, gdzie został ranny. Poinformował mnie, że zbiera „swoich” do organizującego się posterunku Milicji Obywatelskiej w Mirczu. Przekazałam im wyciągnięte ze słomy automaty, łącznie z tym oddanym wcześniej Pawłowi i zapewniłam, że dołączę do nich, jak całkowicie wyleczę rany na nogach. Natomiast Paweł zgłosił na swojej placówce brak broni. W niedzielę rano pojawił się u nas mężczyzna w średnim wieku i wywołał mnie z mieszkania za stodołę. Przedstawił się, że jest z miejscowej placówki AK, w której Paweł zgłosił zabranie automatu. Powiedział, że daje mi pięć dni na zwrócenie „pepeszaka”. Przekonywałam, że wojna skończona, że automaty te posłużą do wypędzenia UPA i do powrotu ludności na swoje tereny. Oświadczył, że dla jego ugrupowania wojna trwa nadal, i że automat musi być oddany, przeciwnie będzie sąd polowy. Mój tata podsłuchiwał rozmowę przez drzwi w stodole. Natychmiast przystąpił do załadowania wozu i w poniedziałek rano wyjechaliśmy do Hrubieszowa. Po pewnym czasie mój tata podjął decyzję o powrocie w swoje strony, gdzie ziemia odłogowała, wszystkie budynki były spalone i grasowały bandy UPA. W tym rejonie Polski walki, napady i zabójstwa ustały dopiero w 1952 r.

Nota Biograficzna

Bronisława Staszczuk urodzona 28 sierpnia 1926 r. w kol. Łasków, pow. Hrubieszów. Rodzice Wojciech i Genowefa

posiadali 12 morgowe gospodarstwo rolne w kol. Łasków. Rodzina składała się z 8 osób, w tym 4-ro dzieci.

W trzynastym roku mojego życia wybuchła wojna. Ojciec należał do grupy organizatorów ruchu oporu – Batalionów Chłopskich. Wykonywałam polecenia w przekazywaniu konspiracyjnych informacji. W styczniu 1943 r., w wieku 17 lat zostałam zaprzysiężona w organizacji partyzanckiej Bataliony Chłopskie – I Batalion oddział Hrubieszowski, pod dowództwem Stanisława Basaja „Rysia”. Otrzymałam pseudonim „Jutrzenka”. Przydzielono mnie do II plutonu pod dowództwem Michała Kucharskiego „Księżycy”. Z oddziałem partyzanckim przeszłam cały szlak bojowy, od rzeki Bug aż do Puszczy Solskiej. Tu uczestniczyłam w największych bitwach partyzanckich w Polsce. Po wyzwoleniu w 1946 r. rozpoczęłam pracę zawodową w GS Hrubieszów. Przystąpiłam do organizacji młodzieżowej „Wici” i do chłopskiej partii Stronnictwo Ludowe. W 1947 r. skierowano mnie na kurs w Centralnej Szkole Politycznej Stronnictwa Ludowego. Po ukończeniu kursu podjęłam pracę w Wojewódzkim Zarządzie SL w Lublinie. Odtąd na stałe zamieszkuję w Lublinie. Tu ukończyłam Technikum Rolnicze. Studia ukończyłam w Wyższej Szkole Nauk Społecznych w Warszawie, a studia ekonomiczne w UMCS w Lublinie. W 1953 r. zawarłam związek małżeński z Mieczysławem Walczyszynem. Pracowałam na kierowniczych stanowiskach w organizacjach społecznych i instytucjach gospodarczych w Lublinie i Warszawie. Po przejściu na emeryturę w 1990 r. zajęłam się „pisarstwem”. Pisałam książki, opowiadania, felietony i artykuły o tematyce walczącej partyzantki oraz historii wschodnich obszarów Polski. Byłam aktywnym działaczem chłopskiej partii SL, a następnie PSL oraz w kombatanckich organizacjach ZBoWiD i BCh. Jestem oficerem WP w stopniu kapitana.

Nieustraszony żołnierz „Woyny”



Ppor. Józef Wojciechowski „Boryna” (faktycznie Jan Mazurek), syn Władysława i Władysławy z Małyszów urodził się 14 lipca 1909 r. Majdanie Wielkim gm. Mołodiatycze (obecnie Trzeszczany) pow. Hrubieszów. Ojciec wychowywał go i jego rodzeństwo samodzielnie, gdyż matka wcześniej zmarła. Chcąc zapewnić swoim dzieciom godziwą przyszłość zadbał o ich wykształcenie. Jedna z sióstr uczęszczała do szkoły krawieckiej, a druga zaś została nauczycielką. Janek natomiast studiował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a następnie ukończył Szkołę Podoficerską i został zawodowym wojskowym. Zdobył także uprawnienia Instruktora Pożarnictwa. Według relacji córki odbył jakieś szkolenia wojskowe w Modlinie i Mielcu. Służył na lotnisku Rakowice-Czyżyny koło Krakowa. Nie ma pewności jaki rodzaj służby pełnił. Jego okupacyjny przyjaciel Mieczysław Klimowicz podobnie jak Zygmunt Andruszewski twierdził, że były to wojska pancerne.¹ Jego córka ma co do tego wątpliwości, gdyż pamięta z dzieciństwa jak pewnego razu uciekła z przedszkola aby odnaleźć ojca i znalazła go na terenie lotniska stojącego między samolotami, chociaż jest w zupełności pewna, że pilotem nie był. Podczas jednego z organizowanych wówczas balów poznał Marię Murawską, panienkę z dobrego domu, która pobierała nauki na pensji u sióstr zakonnych. Jej ojciec

¹ M. Klimowicz, *Wspomnienia z czasów wojny*, Wrocław 2005, s. 89.

Justynian Murawski był dyrektorem Izby Skarbowej w Węgrowie. Młodzi zakochali się w sobie i w 1934 roku pobrali się. Zamieszkali w koszarach wojskowych niedaleko lotniska. Wkrótce na świat przyszła ich córka Izabela. Tuż przed wybuchem II wojny światowej, w obawie przed atakiem gazowym, odwiózł żonę i córkę w rodzinne strony. Zanim udało mu się wrócić do macierzystej jednostki, został ujęty przez Niemców i trafił do niewoli, z której wkrótce zdołał uciec. Przedostał się do powiatu hrubieszowskiego i dołączył do swojej rodziny, ale cały czas się ukrywał. Niemcy aresztowali za niego jego żonę Marię, która spodziewała się kolejnego dziecka. Po sześciu tygodniach wypuścili ją z więzienia. Wówczas postarał się o „lewe” dokumenty dla siebie i całej rodziny na nazwisko Wojciechowski. To jednak nie gwarantowało im pełnego bezpieczeństwa. Za pośrednictwem dziedzica Horodyskiego znalazł schronienie u inż. Zygmunta Andruszewskiego, który przyjaźnił się z tym dziedzicem. Zygmunt Andruszewski był zarządcą majątku w Wandzinie i zatrudnił w nim Józefa Wojciechowskiego zapewniając mu mieszkanie w wandzińskim dworze. Pracownikami administracyjnymi majątku byli Polacy: buchalterem Stanisław Lubiński, księgowym Mieczysław Klimowicz, ogrodnikiem Stanisław Koralewski, praktykantem Józef Wojciechowski.² Był to zgrany, koleżeński zespół, doskonale się uzupełniający i szanujący się nawzajem. Wojciechowski z wojskową skrupulatnością wypełniał swoje obowiązki i dość rygorystycznie egzekwował wykonywanie prac rolnych powierzonych jego nadzorowi. Budziło to niechęć ukraińskich robotników, którzy niejednokrotnie obsypywali go wyzwiskami, a jeśli były zbyt obelżywe, to Wojciechowski posuwał się do rękoczynów. Zazwyczaj te konflikty łagodził inż. Andruszewski, ciesząc się wielkim poważaniem Ukraińców.³ Wkrótce energiczny praktykant zorganizował pod swoją komendą lokalną placówkę ZWZ przy akceptacji i wsparciu rawskiego komendanta tej organizacji. Zaprzysiężeni zostali: Zygmunt Arciszewski, Mieczysław Klimowicz, Zbigniew Hoym i nieznany z nazwiska były podoficer

² Z. Andruszewski, Smolin, s.252.

³ M. Klimowicz op.cit., s. 90.

Wojska Polskiego. Wojciechowski przyjął wtedy pseudonim „Boryna”. Pewnego razu, w drodze powrotnej z Rawy Ruskiej skąd przewozili podziemną prasę, zatrzymało ich na szosie w Michałówce Gestapo. Gestapowcy bardzo skrupulatnie przeszukiwali wóz, klując bagnetami siedzenia i wyściółkę półkoszka, ale nic nie znaleźli, bo trefną bibułę pasażerowie mieli przy sobie za pazuchą. Puścili ich wolno ale zapowiedzieli swoją wizytę w Wandzinie. Po powrocie do majątku przestraszeni konspiratorzy schowali obciążające ich materiały w ulach pasieki.⁴ Pod koniec 1943 r. w związku ze wyspą w rawskim ZWZ, Andruszewski, Klimowicz i Wojciechowski zostali aresztowani i osadzeni w gestapowskim więzieniu w Rawie Ruskiej.⁵ Posługując się grypsami uzgodnili wersję swoich zeznań, która sprowadzała się do tego, że mieli wypierać się jakichkolwiek powiązań z organizacją konspiracyjną.⁶ Mieczysław Klimowicz zrelacjonował jedno z przesłuchań „Boryny”, na którym doszło do konfrontacji z „sypiącym” członkiem organizacji ZWZ. Obciążał on „Borynę”, wymieniając jego funkcje i działalność w organizacji. W odpowiedzi na to „Boryna” zarzucił mu prowokację i uderzył go w twarz w obecności gestapowca. W dalszym toku śledztwa konsekwentnie trzymał się tej wersji zeznań.⁷ Dzięki spójnym, jednolitym zeznaniom ostatecznie zostali zwolnieni z aresztu. Klimowicz nie wrócił już do Wandzina, lecz przeniósł się do Bełżca, gdzie mieszkała jego rodzina.⁸ W grudniu 1943 r., tuż przed Wigilią na mieszkańców wandzinowskiego dworku napadła ukraińska banda w celach rabunkowych. Banda ukradła cały świąteczny prowiant, odzież, bieliznę, buty, futra i różne cenne drobiazgi, jak pierścionki, zegarki. Podczas wspólnej kolacji wigilijnej Wojciechowskich i Andruszewskich zapadła nieodwołalna decyzja opuszczenia Wandzina. W połowie stycznia 1944 r. obie rodziny przeniosły się do Raduża, który dawniej należał do dziadka inż. Andruszewskiego.

⁴ Z. Andruszewski, op.cit., s. 258.

⁵ M. Klimowicz, op.cit., s. 91.

⁶ Z. Andruszewski, op.cit., s.264 – 265.

⁷ M. Klimowicz, op.cit., 92.

⁸ Ibidem, s. 267.

Ludwik Burek z folwarku Rata pożyczył na drogę dla pań ciepłą odzież i futra, gdyż panował wówczas bardzo duży mróz, a odległość do pokonania była znaczna. Cały transport ludzi i ocalałego majątku odbywał się furmankami.⁹ W nowym miejscu też na długo nie zaznali spokoju. Robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Banderowcy zamordowali leśniczego w Wólce Horynieckiej i młynarza wraz z rodziną w Suchej Lipie. W trosce o bezpieczeństwo swoich rodzin Andruszewski i Wojciechowski skorzystali z zaproszenia inż. Sieji i przenieśli się do pałacu w Horyńcu. Miejscowa ludność na noc również szukała schronienia w pałacu. Często odwiedzał ich tu Mieczysław Klimowicz. Pałac był w miarę dobrze zabezpieczony przed napadami banderowców. Stali jego mieszkańcy, w tym Andruszewski i Wojciechowski posiadali całkiem dobre uzbrojenie i aby uniknąć zaskoczenia pełnili kolejno nocne warty od zmierzchu aż po świt.¹⁰ W lutym 1944 r. odwiedził Klimeckiego Adam Dobrowolski mieszkający w Zwierzyńcu nad Wieprzem. Pełnił on funkcję kuriera mjr Stanisława Prusa „Adama”, dowódcy 9 pułku AK. Jako, że w powiecie hrubieszowskim nasilił się terror wobec polskiej ludności, Adam Dobrowolski z łatwością namówił trzech przyjaciół na przeprowadzkę do miasteczka Zwierzyniec w powiecie biłgorajskim. Twierdził, że bez problemu znajdą tam pracę i mieszkanie, a Klimowicza i Wojciechowskiego nęcił dodatkowo perspektywą wstąpienia do jakiegoś oddziału AK.¹¹ Ponadto powiat biłgorajski jawił się im jako oaza bezpieczeństwa, wolna od ukraińskich, krwiożerczych band, gdzie ich rodziny zaznają błęgiego spokoju pod opieką licznych tu oddziałów partyzanckich. Szybko przystąpili do realizacji swoich zamierzeń wynajmując od przekupionych kolejarzy 20 tonowy kryty wagon, w którym w miarę sprawnie przetransportowali prawie całe mienie dwóch rodzin, łącznie z końmi, wozem i krową. Trasa biegła od Rawy Ruskiej poprzez Bełzec, Susiec, Maziły aż do upragnionego Zwierzyńca, gdzie nastąpił

⁹ Z. Andruszewski, op.cit., s. 270 – 272.

¹⁰ Ibidem, s.274 – 275.

¹¹ M. Klimowicz, op.cit., s. 96.

rozładunek. Pierwszą noc spędzili u jednego z pracowników Ordynacji Zamojskich. Zaraz na drugi dzień zakwaterowali się na pierwszym piętrze pożydowskiej kamieniczki przy Rynku. Dzięki koniom Andruszewskiego mogli zarabiać z Wojciechowskim na utrzymanie swoich rodzin najmując się do zwózki drzewa z ordynackich lasów.¹² Klimowicz i Wojciechowski za pośrednictwem Adama Dobrowolskiego trafili wreszcie do wymarzonej partyzantki. Dobrowolski zawiózł ich do obozu leśnego Konrada Bartoszewskiego „Wira” mieszczącego się koło gajówki Trzepietniak pod Aleksandrowem, gdzie mieli oczekiwać na przydział do formowanej od początku kwietnia I Kompanii Sztabowej Inspektoratu Zamojskiego AK, obozującej niedaleko miejsca biwakowania oddziału „Wira”, koło gajówki Okno.¹³ Dowódcą tego oddziału został mianowany były kawalerzysta por. Adam Haniewicz „Woyna”. Na jego zastępcę powołano Józefa Wojciechowskiego „Borynę”, który dowodził jednocześnie plutonem „S” – specjalnym. „Woyna” mianował Mieczysława Klimowicza „Krzysztofa” zastępcą dowódcy tego plutonu.¹⁴ Niemalże we wszystkich oddziałach leśnych trwały intensywne szkolenia w ramach przygotowań do akcji „Burza”. W oddziale „Woyny” przez cały maj i początek czerwca odbywały się takie ćwiczenia. Wypróbowywano broń zrzutową, a zwłaszcza Piaty, angielskie rusznice przeciwpancerne.¹⁵ Do oddziału cały czas przybywali młodzi chłopcy trafiając pod baczne oko „Boryny”, który jako oficer zawodowy doskonale wiedział jak należy postępować z młodymi i niedoświadczonymi żołnierzami. Pod jego nadzorem ćwiczyli czołganie, okopywanie się i uczyli się rozbierać, konserwować i składać broń, czyli krótko mówiąc przyswajali sobie podstawowe umiejętności dobrego żołnierza.¹⁶ Rankiem 22 czerwca 1944 r. przyszło im sprawdzić w praktyce świeżo nabyte umiejętności. Około

¹² Z. Andruszewski, op.cit., s. 277 – 278.

¹³ M. Klimowicz, op.cit., s. 97.

¹⁴ J. Józwiakowski, Armia Krajowa na Zamojszczyźnie, Lublin 2007, s.162.

¹⁵ M. Klimowicz, op.cit., s. 98.

¹⁶ J. Kukułowicz „Sybirak”, Relacje żołnierza z oddziału „Woyny”. [w:] Zeszyt Osuchowski, t. 9, Osuchy 2012, s. 43.

godziny 8.00 od strony Tereszpoła nadciągnęli Niemcy i zniechęca zaatakowali zaskoczonych partyzantów z obozu „Woyny”.¹⁷ Podporucznik „Boryna” zareagował błyskawicznie. W rekordowym tempie zebrał ilu się dało partyzantów i wysłał ubezpieczenie w kierunku Kobyłego Grzbietu, gdzie doszło do ostrej wymiany ognia. Opór był na tyle skuteczny, że pozwoliło to pozostałym w obozie ochłonąć i przygotować się do szybkiego opuszczenia obozu.¹⁸ Na rozkaz Inspektora Edwarda Markiewicza „Kaliny” oddział „Woyny” wycofał się do obozu „Wira” mieszczącego się na Kaplicznej Górze koło Trzepietniaka.¹⁹

Ppor. Józef Wojciechowski zginął 25 czerwca 1944 r. pod Osuchami. Pochowany został na cmentarzu partyzanckim w Osuchach. O okolicznościach jego śmierci mówi nam fragment pieśni partyzanckiej:

*Hurra!...poszedł całą linią zew.
Stał bagnetów już czerwieni krew!
Już „Boryna” do okopów wpadł!
Pośmiertnie został odznaczony
Już zdobył cekaem!...Lecz od serii padł.²⁰*

Pośmiertnie został odznaczony: Medalem Wojska, 15 sierpnia 1948r. i Krzyżem Armii Krajowej, 25 kwietnia 1989 r. Odznaczenia te przyznano mu w Londynie.

Dramatyczne były losy pozostawionej przez „Borynę” rodziny. Nie dość, że stracili ukochanego męża i ojca to jeszcze spłonął im dom wraz z całym dobytkiem podczas pożaru Zwierzyńca powstałego wskutek działań wojennych przechodzącego frontu. Czasowo zakwaterowano ich wraz z innymi pogorzelcami w pałacu Ordynacji Zamojskich w Zwierzyńcu. Wtedy pośpieszył z doraźną pomocą inż. Andruszewski,

¹⁷ J. Markiewicz, Paprocie zakwitły krwią partyzantów, Lublin 1987, s. 80.

¹⁸ B. Barczyński „Karaś”, Relacja żołnierza z oddziału „Woyny”. [w:] Zeszyt Osuchowski, t. 10, Osuchy 2013, s. 50.

¹⁹ M. Klimowicz, op.cit., s. 99.

²⁰ Z. Orliński, Rozkwitały pąki polnych róż. [w] Leśne Litanie, , Lublin 1993, s. 43.

przywożąc im trochę żywności i odzież. Niestety banda rabusiów okradła ich z i tak już bardzo skromnych resztek mienia.²¹ Żona „Boryny”, Maria miała bardzo duże trudności z uzyskaniem jakiegokolwiek pracy. Kondycja materialna rodziny była tak ciężka, że matka musiała czasowo oddać córkę Izabelę na wychowanie do zakonnicy, a syna Jerzego do domu dziecka. Dzieci wróciły na krótko do domu, gdy matce udało się zatrudnić w cukrowni w Klemensowie, ale wtedy spadło na nich kolejne nieszczęście. Pani Maria straciła pamięć i zaginęła. Dzieci ponownie trafiły pod obcą opiekę, córka u zakonnicy, a syn w domu dziecka. Matkę odnaleziono aż na Wybrzeżu i na 10 lat umieszczono na leczenie w zakładzie zamkniętym. Dopiero dorosła już córka zabrała ją do siebie. Ppor. Józef Wojciechowski poświęcił własne życie dla Ojczyzny, a nasze państwo nie potrafiło zadbać o losy jego najbliższych.



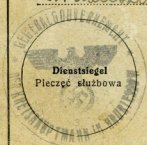
Kraków 1934 r. Młodzi Państwo Mazurkowie po ślubie.

²¹ Z. Andruszewski, op.cit., s. 294.

Kennort Miejsce wystawienia	J. Mazurka		
Kreish. Starostwo powiat.	Distrikt Okręg	Lwów	
Kennummer Numer rozpoznawczy	2243		
Gültig bis Ważne do	12. Juni 1947		
Name Nazwisko	Wojciechowski		
Geburtsname (b. Ehefrau) Nazwisko panieńskie (u mężatki)	Josiach		
Vorname Imię	Josiach		
Geboren am Urodzony (a) w dn.	14. August 1911.		
Geburtsort Miejsce urodzenia	Warschau		
Kreish. Starostwo pow.	Distrikt Okręg	Warschau	
Land Kraj	Polen		
Beruf Zawód	gelernter Wyznany ausgeübter wykonywany Lohnangestellter Dienstadt.		
Religion Wyznanie	Dienstadt.		
Besondere Kennzeichen Szczególne znaki rozpoznawcze			



rechter Zeigefinger
palec wskazujący prawej ręki



linker Zeigefinger
palec wskazujący lewej ręki

Unterschrift des Kennkarteninhabers
Podpis posiadacza karty rozpoznawczej
 J. Mazurka, den 12. Juni 1947
 Ausstellungsbüro
Władza Wykazująca
 Unterschrift des ausstellenden Beamten
Podpis sporządzającego urzędnika
 [Signature]

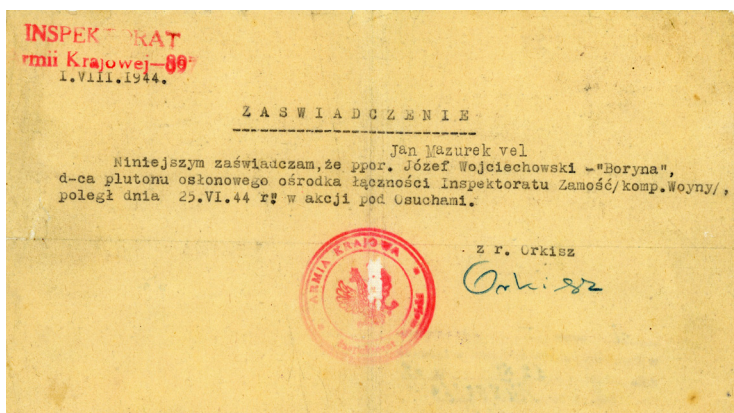
„Lewy” dokument Jana Mazurka na nazwisko Wojciechowski.



Wandzin 1943 r. Na schodach palacu siedzą od lewej: Zbigniew Hoym, Józef Wojciechowski, niżej Zygmunt Andruszewski ze swoim psem.



Zwierzyniec 8 V 1944 r. Przenosiny - rozładunek wagonu.
Od lewej: Adam Dobrowolski (córka „Boryny” wycięła z zemsty jego głowę),
Józef Wojciechowski, pani Dobrowolska z córką.



Zaświadczenie o śmierci Józefa Wojciechowskiego „Boryny” podpisane przez
Antoniego Radzika „Orkisz”, adiutanta „Kaliny”.

Bracia Ludwikowie w służbie Ojczyźnie



Adam Tadeusz Ludwik „Goraj” urodził się 1 listopada 1920 r. w Biłgoraju jako syn Jana i Emilii z Łysikowskich. W domu nazywano go Tadeuszem. Uczył się w siedmioklasowej Publicznej Szkole Powszechnej Nr 2 w Biłgoraju. W dniu 30 kwietnia 1932 r. ukończył kurs teoretyczny dla Obsad Posterunków Obserwacyjno – Meldunkowych w Lublinie. Dalszą naukę kontynuował w Państwowym Liceum i Gimnazjum im. Hetmana J. Zamoyskiego w Zamościu. Czteroletnie gimnazjum ukończył 16 czerwca 1937 r., a w roku szkolnym 1937/38 rozpoczął naukę w dwuletnim liceum. Świadectwo dojrzałości otrzymał 22 maja 1939 r. W latach nauki w Zamościu brał aktywny udział w życiu publicznym. Wychowany w duchu patriotyzmu uczestniczył w różnych szkoleniach o charakterze wojskowo-militarnym. Od 1 września 1936 r. był członkiem zbiorowym Ligi Morskiej i Kolonialnej. Dnia 26 VII 1938 r. ukończył II stopień P. W. w Zamościu. W dniu 30. 09. 1938 r. stawiał się na ochotnika do szeregów Zamojskiego Ochotniczego Batalionu Zaołzańskiego i złożył Ojczyźnie uroczyste przyrzeczenie gotowości na rozkaz Komendy Naczelnej pójścia w bój za Śląsk i za Polskę. W 1939 r. uczestniczył w obozie szkoleniowym w Kostopolu na Wołyniu. Od 18 czerwca do 15 lipca 1939 r., jako poborowy z cenzusem odbył służbę pracy w 1 Baonie Junackich Hufców Pracy w Polanach. Był bardzo towarzyski i zawsze otaczało go grono licznych kolegów szkolnych. Koledzy bardzo go lubili i darzyli dużym szacunkiem, pieśczośliwie nazywając Luciem. Jego szkolny kolega Zdzisław

Mroziewicz w jednym z listów scharakteryzował go w następujący sposób: *„Widzisz, pod pewnymi względami różnimy się. Ty umiesz żyć, brać życie za łeb – bezpośrednio i twardo”*. Natomiast Stefan Matraś, z którym Tadeusz w latach nauki w Zamościu mieszkał na jednej stacji zwrócił się do niego w liście słowami świadczącymi o tym, jak postrzegany był przez kolegów szkolnych: *„Zawsze uważaliśmy Cię Luciu wszyscy za dobrego kolegę i prawdziwego przyjaciela, który potrafił być przyjacielem”*. W latach nauki w Zamościu poznał Marię Brzyką, uczennicę II Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Marii Konopnickiej w Zamościu. Połączyło ich płomienne uczucie zwieńczone narzeczeństwem. Tadeusz był częstym gościem w Hostynnem, gdzie w czasie okupacji mieszkała Maria.¹ W kwietniu 1944 r. zaciągnął się do I Kompanii Sztabowej Inspektoratu Zamojskiego Armii Krajowej, dowodzonej przez Adama Haniewicza „Woynę”, przyjmując pseudonim „Goraj”. Brał udział w pierwszym starciu oddziału podczas niemieckiej akcji przeciwpartyzanckiej „Sturmwind II” w lasach Puszczy Solskiej.² Podczas tej walki został ciężko ranny z granatnika w brzuch i w nogi.³ Siła rażenia niemieckiej broni maszynowej i z granatników była tak wielka, że mimo podejmowanych prób nie udało się go zabrać z pola walki. Trafił do niewoli niemieckiej i przewieziono go do siedziby gestapo w Biłgoraju, gdzie był poddawany bestialskim przesłuchaniom.⁴ Mimo rozpaczliwych starań matki o uwolnienie Tadeusza, która przekupiła nawet niemieckich urzędników, został rozstrzelany o godzinie 18⁰⁰, 3 lipca 1944 r. przez dwóch gestapowców w Biłgoraju na ulicy Lubelskiej na hałdach gruzów i pokrzyw, a następnie dość płytko zakopany.⁵ Pogrzeb Tadeusza po ekshumacji odbył się 27 lipca 1944 r. Był pierwszym pochówkiem partyzanckim w wyzwolonym Biłgoraju i przerodził się w wielką manifestację

¹ Na podstawie relacji ustnej Danuty Ćwiklińskiej, bratanicy Tadeusza Ludwika oraz z dokumentów i korespondencji przez nią zachowanych.

² J. Markiewicz, *Paprocie zakwitły krwią partyzantów*, Lublin 1987, s. 80.

³ B. Barczyński „Karaś”, *Relacja żołnierza z oddziału „Woyny”*, Zeszyt Osuchowski, Osuchy 2013, s. 50.

⁴ J. Kukulowicz „Sybirak”, *Relacje żołnierza z oddziału „Woyny”*, Zeszyt Osuchowski, Osuchy 2012, s. 43.

⁵ E. Łukaszczyk, *Wspomnienia z przeszłości Biłgoraj 1939 – 1944*, Biłgoraj 2010, s. 45 – 46.

patriotyczną. Pochowany został na cmentarzu wojennym przy ulicy Lubelskiej w Biłgoraju. Miłość i rozpacz po śmierci Tadeusza były tak wielkie, że Maria Brzyska pozostała mu wierna do końca swoich dni. Ta piękna dziewczyna nigdy nie wyszła za mąż.⁶

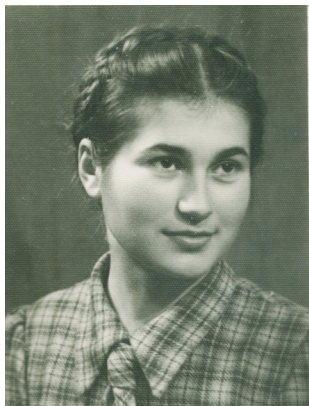


Zamość 1938/39 r. Szalone lata szkolne.
Od lewej: Maria Brzyska, Adam Tadeusz Ludwik i NN.



Grudzień 1940 r. Zaświadczenie stwierdzające tożsamość
Adama Tadeusza Ludwika.

⁶ Z relacji Danuty Ćwiklińskiej



Hostynne 1941 r. Maria Brzyska,
na odwrocie dedykacja dla Tadeusza.
*„Najmilszemu, najdroższemu
nad wszystko ukochanemu Tadziowi...”*



Hostynne 1941 r. Tadeusz Ludwik
i Maria Brzyska. Na odwrocie
fotografii Tadeusz napisał:
„Podobasz mi się Maryś”



Biłgoraj 1944 r. Koledzy składają trumnę z ciałem Adama Tadeusza Ludwika „Goraja”
do grobu na cmentarzu przy ul. Lubelskiej.



Zygmunt Czesław Ludwik „Jastrząb”, „Opal” urodził się 28 stycznia 1924 r. w Biłgoraju. Był synem Jana Ludwika i Emilii z Łysikowskich, młodszym bratem Tadeusza Ludwika „Goraja”. Prywatnie posługiwał się imieniem Czesław. Uczęszczał do siedmioklasowej Publicznej Szkoły Powszechnej Nr 2 w Biłgoraju. Dalszą naukę podjął dopiero po wojnie. Ukończył Państwowe Liceum i Gimnazjum Ogólnokształcące w Biłgoraju i zdał egzamin dojrzałości według programu wydziału przyrodniczego w 1948 r. W latach 1948 - 1951 uczęszczał na studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Poznaniu i złożył wszystkie egzaminy przedmiotowe z wyjątkiem egzaminu dyplomowego. Prawie przez całą okupację był zatrudniony w niemieckiej firmie F. Röver & Sohn, w której konwojował transporty kolejowe z produktami spożywczymi. Podczas okupacji niemieckiej związał się z ruchem oporu wstępując 1 czerwca 1943 r. do Armii Krajowej. Od marca 1944 r. należał do oddziału Józefa Steglińskiego „Corda” biorąc udział w akcjach podejmowanych przez ten oddział. W czerwcu 1944 r. uczestniczył w walkach w Puszczy Solskiej podczas niemieckiej akcji przeciwpartyzanckiej „Sturmwind II”. Zapobiegliwy Czesław na ten czas wziął urlop w pracy od 12 czerwca do 12 lipca. Po bitwie pod Osuchami ukrywał się w bagnie. Jeden z żołnierzy niemieckich z grupy przeczesującej lasy prawdopodobnie go zauważył i nadeptawszy mu nogą na głowę, wepchnął głębiej w bagno. Dzięki temu „Opal” uniknął niechybnej śmierci. Po ustąpieniu Niemców wyszedł z bagna i gdy dotknął głowy w miejscu zetknięcia z butem niemieckiego żołnierza w rękę została mu spora kępa włosów, które już w tym miejscu nie odrosły. Zapewne dlatego miał zwyczaj prawie zawsze chodzić w nakryciu głowy, zwłaszcza w bardzo charakterystycznej furazerce. Po skończeniu edukacji podjął pracę we Włosiankarskiej Spółdzielni Pracy w Biłgoraju. Był jednym z pierwszych, którzy wstąpili do koła PPTK

w Biłgoraju (1957 r.). W 1955 r., jako rezerwista został powołany na ćwiczenia wojskowe do jednostki w Chełmie, pełniąc w niej funkcję pisarza. W 1952 r. ożenił się z Anną Margiela i miał z nią dwie córki, Marię i Danutę. Posiadał uprawnienia Instruktora lekkoatletyki kl I i społecznie był trenerem żeńskiej sekcji lekkoatletycznej KS Łada. Sam również czynnie uprawiał sport, który był jego wielką pasją. Startował w zawodach sportowych w biegach i skokach. Grał także w piłkę nożną w drużynie Łady na pozycji bramkarza. Interesował się muzyką klasyczną i sam dość dobrze grał na banjo i fortepianie. W kręgu jego bogatych zainteresowań znajdowała się również historia i geografia. Bardzo dbał o edukację córek w tych dziedzinach. Sam wiele je uczył i kontrolował stopień przyswojenia tych wiadomości. Często zabierał córki na wyprawy rowerowe po okolicznych lasach, gdzie odwiedzali samotne groby z brzoźowymi krzyżami. Były to beziminne mogiły poległych partyzantów. Potrafił też wymyślać piękne bajki dla dzieci, które opowiadał swoim córkom i wnukom. Niestety ta jego twórczość nigdy nie została spisana, a w pamięci jego słuchaczy już się trochę zatarła. Ponadto był uzdolniony plastycznie i pięknie rysował. Zmarł 14 lipca 1996 r. i został pochowany na cmentarzu w Biłgoraju przy ulicy Lubelskiej.⁷



Kenkarta Zygmunta Czesława Ludwika.

⁷ Na podstawie relacji ustnej Danuty Ćwiklińskiej, córki Czesława Ludwika oraz z dokumentów przez nią zachowanych.



Zygmunt Czesław Ludwik „Opal”
nad mogiłą brata
Adama Tadeusza Ludwika „Goraja”.



Chełm 1955 r. Czesław Ludwik
podczas służby wojskowej.



Czesław Ludwik (z piłką) - bramkarz
KS Łada



Koledzy od „Corda”
znów na partyzanckim szlaku.
Od lewej: Wacław Kuliński „Ryś”
i Zygmunt Czesław Ludwik „Opal”.

Podkowiacy w Puszczy Solskiej

Puszcza Sol ska to duży kompleks leśny leżący na Równinie Biłgorajskiej, poprzecinany nurtami Tanwi, Łady, Sopotu, Szumu i Nepryszki. Podczas okupacji niemieckiej była schronieniem dla ludności cywilnej i licznie tu stacjonujących oddziałów partyzanckich AK, BCh i partyzantki radzieckiej. Stałe bazy miały tu oddziały AK: Edwarda Błaszczaka „Groma”, Konrada Bartoszewskiego „Wira”, Adama Haniewicza „Woyny”, Józefa Steglińskiego „Corda” i oddziały BCh: Antoniego Wróbla „Burzy” i Jana Kędry „Błyskawicy”. Czasowo znalazł tu schronienie oddział Tadeusza Kuncewicz a „Podkowy”. Na początku stycznia 1944 r. w obozie „Podkowy” stacjonującym między Topólczą, a Kawenczynem odbyła się odprawa oficerów OP 9 prowadzona przez jej dowódcę mjr Stanisława Prusa „Adama”. Oficerowie uczestniczący w naradzie dotarli do obozu z różnych stron podróżując saniami. Taki niecodzienny ruch, a także liczne ślady płuż na śniegu zwróciły uwagę obsługi niemieckiego samolotu Storch, patrolującego okolicę. Samolot wielokrotnie krążył nad obozem na małej wysokości. Wprawdzie sanie i pozostawione przez nie ślady starano się zamaskować, ale istniała obawa, że mimo to pilot samolotu rozpoznawczego zlokalizował partyzancką bazę i wkrótce może ona być zaatakowana. Zarządzono ostre pogotowie i przygotowania do zmiany miejsca postoju. Podjęto decyzję o przeniesieniu obozowiska do osady Maziarze leżącej w środku Puszczy Solskiej. Do nowego miejsca postoju oddział dotarł saniami w ciągu jednej nocy.¹

Dnia 8 o godz. 12 w nocy wyjeżdżamy z obozu. Jedziemy na 10 furmankach. Podróż straszna. Zimno i śnieg, czasem silny wicher ze śniegiem. Jedziemy na Czarnystok, Lipowiec, Tereszpol, Górecko.

¹ A. Piotrowski „Dolina”, Leśni Podchorążowie, Relacja o Szkole Podchorążych Rezerwy przy OP 9, s. 2 – 3.

Przez Tereszpól przejechaliśmy rano. Ludzi na drogach pełno, każdy z radością wita polskie wojsko mówiąc, że już niedługo nadejdzie chwila wyzwolenia. Nareszcie przyjeżdżamy w lasy bagniste, głuche. Przedostatnim etapem jest gajówka Fryszarka, zniszczona przez bandy bolszewickie. Na ścianach mieszkań jeszcze jest zakrzepnięta od dawna krew pomordowanych. Nareszcie przyjeżdżamy do wsi Maziarze. Domy puste, ludzi nie ma od lipca 1943 r. Niemcy wymordowali. Nikt sobie nie wyobraża takiego spustoszenia. Tylko groby i rumowiska. Zajmujemy kwatery w starych domach. Raz dwa porządek zrobiony i już się mieszka. Ma przyjechać także oddział por. Zapory.²

W osadzie Maziarze (Malce) były tylko trzy gospodarstwa, oddzielone od siebie wielką polaną, opuszczone przez ich mieszkańców. W ciągu kilku dni zaadoptowano nowe kwatery zgodnie z potrzebami oddziału. Jeden budynek zajęła Podchorążówka, drugi ppor. Mieczysław Skwarczyński „Leszcz” z radiostacją i ppor. Ignacy Konstantym „Szmaragdem”, cichociemnym. W trzecim gospodarstwie urządził się oddział „Podkowy” z całym zapleczem gospodarczym. Od razu też ruszyły szkolenia Podchorążówki.³

W dniu 10 stycznia 1944 r. dociera do Maziarzy ppor. Stanisław Mazur „Elski” z plutonem Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Ich obóz w Hoszni został zlikwidowany ponieważ „Zaporę” odwołano do Lublina.⁴

Rano wysłał mnie kapitan „Wacław” poszukać jakiegoś źródła, bo studnia zawalona i woda brudna. Biorę pas, ładownice, granat, karabin na plecy, przypinam narty i jadę. Znalazłem leśny strumyk, woda niezła. Melduję kapitanowi, a tu zajeżdżają fury. Jest już oddział Zapory, znajome chłopcy. W tej chwili życie naprawdę jak w wojsku. Powitania, okrzyki.⁵

Obóz „Podkowy” odwiedzały delegacje stacjonujących w pobliżu oddziałów sowieckich i bechowskich. Często gośćmi byli również

² B. Polakowski, *Dziennik z lasu*, Zamość 2015, s. 14

³ A. Piotrowski „Dolina”, *Leśni Podchorążowie*, Relacja o Szkole Podchorążych Rezerwy przy OP 9, s. 3.

⁴ A. Piotrowski, *op. cit.*, s. 3.

⁵ B. Polakowski, *op. cit.*, s. 14.

żołnierze Edwarda Błaszczaka „Groma”. Podkowiacy zaś jeździli z rewizytami. Więzy między stacjonującymi tu oddziałami zacieśniały się coraz bardziej. Nawiązywano przyjaźnie, planowano wspólne akcje. Między oddziałami przeprowadzono linie telefoniczne.⁶ Najbardziej zaprzyjaźnieni byli z oddziałem „Groma”.

*Jestem pierwszy raz w obozie ppor. Groma. Fajnie sobie mieszkają w barakach, śpią pod pierzynami i są bardzo gościnni.*⁷

Oddział „Podkowy”, będąc na obcym terenie ma coraz większe problemy z zaprowiantowaniem i jest zmuszony korzystać z pomocy Gromiaków.⁸

*Od Bożego Narodzenia do chwili obecnej w obozie panował nie tylko głód, ale można powiedzieć nędza. Mięsa nie widzieliśmy tygodniami, a zdarzało się i tak, że po 3 lub 4 dni chleba nawet nie było, nie mówiąc już o papierosach. Tylko od czasu do czasu przywożono worek tytoniu, jak to nazywano „zza stodoły”, który ćmiliśmy w „sowieckiej bibułce”. Wiara głodowała w tym czasie do tego stopnia, że zapanował w obozie szkorbut. Był to skutek nie tylko niedożywienia, lecz i postnego oraz bardzo często zimnego jedzenia.*⁹

W tej sytuacji zdecydowano się wyruszyć na akcję aprowizacyjną do wsi zasiedlonych przez Ukraińców. Zaplanowano ją na 18 stycznia 1944 r. Uczestniczyli w niej żołnierze z oddziału „Groma” i „Podkowy”. Całością akcji dowodził sam „Grom”.

Początkowo był zamiar przeprowadzić akcję w Dzikowie i Obszy, ale ze względu na śnieżycę jaka zapanowała pod wieczór i na to, że szpicle już zdążyli uprzedzić stojące tam załogi niemieckich i ukraińskich żandarmów, została przeprowadzona akcja rekwizycyjna tylko w ukraińskiej wsi Woli Obszańskiej. Późnym wieczorem wraz z tumanami szalejącej śnieżycy wpadliśmy znienacka do wsi z dwu stron. Całością dowodził ppor. Grom, utrzymując przy sobie jednocześnie dowództwo jednej grupy. Drugą grupą, złożoną przeważnie

⁶ Ibidem, s. 15.

⁷ Ibidem, s.20.

⁸ A. Piotrowski, op. cit., s. 3.

⁹ B. Polakowski, op. cit., s. 19 – 20.

z Podkowiaków, dowodzili podch. Wicher i Błyskawica (Jan Guzowski ze Szczebrzeszyna). Z rzadka odezwały się wystrzały karabinowe i kilka serii broni maszynowej, kiedy któryś z naszych natknął się na uzbrojonych Ukraińców. Chłopcy szybko porozbiegali się, żeby każdy mógł wypełnić uprzednio nałożone na niego zadanie. Ja pozostałem z Huzarem (Bolesław Józwiakowski ze Szczebrzeszyna. Zginął już po wyzwoleniu na jesieni 1944 r. w starciu z Sowietami). i pierwszą naszą czynnością było „zorganizowanie” furmanki, a następnie załadowanie jej mięsem i inną żywnością. Był to dzień jakichś świąt ukraińskich. W każdym domu leżały na sianie pod stołem bułki i placki, które były zupełnie niesłone. Wykonanie zadania nie było łatwe. Ja pilnowałem jakiegoś Ukraińca, który zakładał konie do wozu, a Huzar w tym czasie przeglądał chlewy i obory, żeby jak najszybciej załadować furmankę z mięsem. Małą chwilę swojej nieuwagi byłbym przepłacił życiem. Kiedy odwróciłem się w drugą stronę, Ukrainiec szybko sięgnął pod strzechę i wyciągnął ukryty tam karabin. Lufę jego od razu skierował we mnie, lecz w tym momencie zjawiał się niespodziewanie Huzar z okrzykiem „stój! Ręce do góry”, a Ukrainiec na to w nogi. Huzarowi zaciął się karabin, a zanim ja zorientowałem się o co chodzi, ów bandzior odbiegł już kawał drogi wystrzelivszy uprzednio do nas dwa razy. W końcu obaj z Huzarem wypaliliśmy do niego parę razy, prawdopodobnie ze skutkiem, bo już po akcji widzieliśmy w tym miejscu ślady krwi na śniegu. Po paru godzinach wykonaliśmy wreszcie swoje zadanie i podjechaliśmy na środek wsi, gdzie był z góry oznaczony punkt zborny dla załadowanych furmanek. Stało ich tam już kilkanaście. Zostawiwszy furmankę pod eskortą wyznaczonych do tego żołnierzy. Pobiegliśmy obaj z Huzarem w stronę operującej grupy Gromiaków, ażeby wreszcie solidnie gdzieś podjeść i popić dla rozgrzewki. Po całej wsi rozchodził się zapach „kropelek” czyli tak zwanej „hanodynny”. Gromiacy przyzwyczajeni do „kropelek” już sobie podpiłi i tym bardziej stukali po plecach Ukraińców, od których niejeden Gromiak ucierpiał, ale z naszych rzadko który wziął do ust ten smród. W wyniku akcji uzyskano kilkanaście fur żywności, która została rozdzielona dla odżywienia zgłodniałych żołnierzy pomiędzy oddziały Podkowy

*i Groma. Wróciliśmy do obozu Groma. Tu zatrzymaliśmy się, żeby się ogrzać. Dano nam trochę spirytusu. Po godzinnym odpoczynku odjechaliliśmy do swego obozu, dokąd przybyliśmy nad ranem.*¹⁰

Zapadła również decyzja dowództwa o zrobieniu wypadu na wsie nasiedlone tzw. „czarnymi”. Akcja ta doszła do skutku w nocy z 21 na 22 stycznia. Wzięły w niej udział połączone oddziały „Podkowy”, „Groma” i „Norberta”. Do akcji dołączyła również Szkoła Podchorążych w ramach szkolenia bojowego pod dowództwem Janusza Pruszkowskiego „Wacława”.¹¹

Dnia 20. 01. Rano wyjechaliśmy saniami z obozu Groma (około 10 km na zachód od miejscowości Maziarze w puszczy Solskiej), udając się przez Osuchy, Podsośninę, Szostaki i Aleksandrów do Tarnowoli. Po kilkugodzinnym odpoczynku, w czasie którego dołączyli do nas Gromiacy z okolicznych placówek tj. z Aleksandrowa, Górecka, Tarnowoli i Józefowa, wyruszyliśmy przez Brzeziny, Majdan Kasztelański, Senderki, Kaczórki do kilku stojących pod lasem domów w pobliżu wsi Jacnia. Tutaj żołnierze dostali dosłownie tylko trochę jedzenia i zostali rozkwaterowani, ażeby przeczekać cały dzień w ukryciu. Wszyscy byli zmarznięci do szpiku kości, głodni i w przemoczonych butach, tak że od razu gdzie kto miał wyznaczone miejsce walił się z nóg, żeby bodaj trochę przespać się przed akcją. Czuwały tylko ukryte warty, które wtedy składały się z żołnierzy „plutonów terytorialnych”, ponieważ reszta była zbyt wyczerpana. W tym czasie w jednym z domów sztab opracowywał szczegółowy plan akcji. W skład sztabu wchodził: Grom, Podkowa, Elski, dr Kwiatkowski i kilku od Norberta. Grupie Podkowiaków, w której i ja byłem, przypadła „najlepsza” kwatera, bo w stogu słomy na polu za stodołami, gdzie było tak samo jak w lesie, kiedy się spało na gałęziach rzuconych na śnieg. Klęliśmy wszystkich i wszystko, jak tylko można było w słownictwie lasowym. Na to nadszedł Podkowa, któremu skarżyliśmy się, że inni, nie tak przemęczeni jak my oraz „terytorialni”, śpią

¹⁰ Ibidem, s. 21 – 22.

¹¹ Jan Turowski, Historia OP 9, Zamość 2017, s.35.

w domach lub na strychach domów i stodół w sianie, a my jak najgorsi na polu, gdzie trudno nosa wychylić, bo mróz i śnieżyca, a na dodatek w brzuchu orkiestra marsza gra. Uspokoił nas Podkowa słowami: „nie jesteście ani „terytorialni” ani kolonialni, tylko żołnierze co się zowie i pokażcie tym dupkom żołędnym, że potraficie cierpieć i walczyć o wolność nie tak jak oni pod piecami i językiem, ale jak na żołnierzy i Polaków przystało”. Nie wszystkim to poszło w smak, a najbardziej jęczał w przemokniętych kamaszkach st. strz. Marynarz mówiąc: „koledzy, ja pie...ę takie „na ramie broń” jak już człowiek nie czuje ciała z zimna i brzuch przysycha mu do krzyża”. Zналиśmy się wszyscy i wiedzieliśmy, że żołnierz z niego dobry, ale jak się zdenerwuje, to gada co mu ślina na język przyniesie. W końcu jednak, przytuleni do siebie plecami lub brzuchami, obłożeni z boków snopami słomy, posnęliśmy jak kamienie z myślą o nadchodzącym wieczorze i akcji. Przed wieczorem 20.01. wszczął się ruch. Ze wszystkich strychów i stodół powychodzili rozespani żołnierze i zaczęli przygotowywać się do odmarszu. Dla otrzeźwienia i orzeźwienia zaczęliśmy się myć tj. nacierać twarz i ręce śniegiem, co było u nas powszechnie stosowane w zimie, gdy w pobliżu nie było wody. W tym czasie podeszło do nas kilku norberciaków. Od nich dowiedzieliśmy się, że podczas przemarszu ich grupy, która ma brać udział w akcji, natknęli się na Niemców i w wyniku starcia zabili jednego żandarma, kilku zaś ranili. Niemcy nawiewając porzucili trochę broni: 2 karabiny, 2 dubeltówki i maszyn-pistolet. O zmroku wyruszyliśmy. Nasza grupa miała pierwsza zaatakować wieś od strony kościoła tj. od wsi Hutków, Gromiaczy – centrum wsi, żeby opanować drogę wiodącą do Kolonii Suchowola, a Norberciacy od strony Potoczka. Powoli wychyliłiśmy się z lasu na drogę, mając przed sobą kościół o kilkaset metrów, gdy od strony Kol. Suchowola zbliżyły się sanie z „czarnymi wachmanami”. Jechali oni do Suchowoli, żeby razem strzec swoje wioski, ponieważ już wiedzieli, że w okolicy dla nich nie wesoło. Wiedzieli też o losie żandarmów. Od razu natknęli się na nasz patrol, który szedł jako szpica pod płotami przy drodze do kościoła i zatrzymali się na moment wołając: „Halt! Wer da?” na to tylko nasi czekali. Potok od razu odwalił mu: „ja ci sk....synu

dam werda!” Wtedy jeden z wachmanów wystrzelił, a drugi zaczął trąbić na alarm. Nie mógł wytrzymać Nadolny i z okrzykiem „ja ci taki synu zagram, to z muzyką pojedziesz do Belzebuba” walnął serię z rkm-u prosto w sanie. Rozległ się jęk i trąbka wypadła z sań na drogę. Niemcy zostawili zabitego i sanie, a sami biegiem rzucili się do wsi. Teraz wypadki potoczyły się szybko. Z boku rozległa się komenda Podkowy: „Chłopcy w tyralierę! Naprzód biegiem marsz!” Nie było to jednak takie łatwe. Kilkudziesięciu dobrze uzbrojonych szkopów grzało w nas zza każdego domu. Poderwaliśmy się raz, ale dosłownie zasypiani ogniem padliśmy z powrotem w śnieg. Wreszcie za trzecim razem, gdy nasi kaemiści zaciekle bili do nas, część chłopców w skokach rzuciła się na szkopów. Natarcie się udało i w końcu osiągnęliśmy chałupy. Teraz walka toczyła się prawie o każdy dom. Po prostu cudów dokazywali Piorun, Osa, Nadolny, Komar, Marynarz i Kowal. Zaczęła się gonitwa za pojedynczo uciekającymi przez sady szkopami, którzy nawiewali w pola nie wiedząc, że z tamtej strony lada chwila stukną Gromiacy, co też stało się po kilkunastu minutach. Nasza grupa sama nie dałaby rady rozbić oporu szkopów, którzy byli od nas liczniejsi, lepiej wyposażeni w broń i mieli dobrą osłonę i ochronę z domów, my zaś byliśmy widoczni z daleka na tle śniegu. Jednak nienawiść dodała nam takiego bodźca, że każdy postanowił dotrzeć do nich i walić ile się da. To, że nasze trzecie natarcie się udało zawdzięczyć należy w znacznej mierze grupie Norberciaków, którzy właśnie w tym czasie natarli ze swojej strony na szkopów ze strasznym „hurra!” Niemcy wzięci w ogień z trzech stron bronili się zaciekle, zwłaszcza, że połowa z nich to byli przeważnie zdemobilizowani i osiedleni na tej wsi SS-mani. Walka trwała od godz. około 17 do 22. W tym czasie kilkunastu Gromiaków przebiło się od strony pól i dołączyło do nas. Z grupy tej wyróżniali się: „Polasek”, „Stół”, „Krzych” i „Skrzypik”, którzy naprawdę nie nawalali. Po przeprowadzonym natarciu, w którym brali udział wszyscy, Podkowa i dr Kwiatkowski zatrzymali się pod jednym z domów, pierwszy kierując operacją grupy, drugi przygotowując się na wypadek niesienia pomocy lekarskiej rannym. Jako osłona zostaliśmy z nimi Marynarz, Wilczek, st. strz. Sęp i ja. Pomimo pilnej uwagi jakiś Niemiec zza

drugiego domu rąbnął w nas granatem. Uniknęliśmy ran, a może i śmierci, tylko dzięki szybkiej orientacji Podkowy. Na jego komendę „padnij!” zdążyliśmy odskoczyć kilka kroków w bok i paść na śnieg. Było go tak dużo, że granat zarył się weń dość głęboko i wybuch jego niewiele nam zaszkodził, bo tylko jeden odłamek trafił w apteczkę doktora stojącą na śniegu, a kilka drobnych pocięło mój płaszcz, którego jedna poła podczas mego padania zawisła na sękach opłotka. Po tym wypadku zerwaliśmy się goniąc szkopa, który nawiewał w stronę plebanii, gdzie jeszcze najmocniej bronili się Niemcy pod dowództwem samego Dorfführera. Skrzyknął Podkowa kilku jeszcze chłopaków i przypuściliśmy formalny atak na broniących się w plebanii Niemców. Atak się udał i już po chwili byliśmy panami sytuacji na całej wsi, bo Niemcy posłyszawszy, że zacichła obrona Dorfführera, zaczęli uciekać i kryc się gdzie kto mógł. Po wejściu do plebanii znaleźliśmy kryjówkę, do której każdy bał się wejść. Wreszcie ja się zdecydowałem pod warunkiem, że w razie czego, jakiejś strzelaniny w kryjówce od razu zarzucą ją granatami. Podkowa tylko się uśmiechnął i stanął nad kryjówką wraz z dr Kwiatkowskim, Marynarzem i Kowalem z bronią gotową do strzału. Wskoczyłem do kryjówki z latarką elektryczną w lewej ręce i rkm-em w prawej i głośno krzyknąłem „Hande hoch!” Na szczęście byli tam tylko ojciec Dorfführera, z karabinem, który od razu rzucił na ziemię i żona Dorfführera z córkami. Wyprowadziłem wszystkich na wierzch w celu przesłuchania ich przez Podkową. Wreszcie usłyszeliśmy głos Podkowy: „no, chłopcy, teraz możecie się wreszcie najeść i napić, zaznaczam tylko, żeby hulać bez gwałtów i jakichś dzikich wyskoków, bo – tu wskazał ręką na gardło – i jak najszybciej ładować wozy”. Wszyscy rozbiegli się po wsi. Ja pozostałem z dr Kwiatkowskim i Podkową, żeby pomóc doktorowi przy robieniu opatrunku Niemcowi, którego przed samą plebanią podczas ataku pozdrowił Wilczek serią z rkm-u po nogach, a równocześnie służyłem Podkowie za tłumacza w rozmowie z rannym Niemcem. Jak się okazało był to zięć Dorfführera, który przyjechał tu na urlop. Po opatrzeniu przejrzelśmy leżące na biurku papiery, między którymi znaleźliśmy listę z nazwiskami Polaków przeskarżonych przez szpiclów. A byli oni

tak głupi, że zostawili na listach swoje podpisy, co w przyszłości dało możliwość organizacji zlikwidowania tych gości. Następnie zajrzeliśmy do szaf i kufrów. Trudno mi jest wymienić dokładnie wszystkie rzeczy, jakie tam się znajdowały. Najwięcej było obrusów i kilimów kościelnych. Były nimi poprzykrywane również i łóżka wszystkich domowników. Widocznie używano ich zamiast prześcieradeł i kap. Łatwo było poznać, że to kościelne po powyszywanych krzyżach i krzyżykach oraz innych znakach kościelnych. W kredensie znaleźliśmy dwa kielichy kościelne i wiele innych podobnych przedmiotów. (Kielichy te oddaliśmy w obozie szefowi „Krukowi”, który miał je przekazać ks. Wacławowi Płonce „Czarnemu”, naszemu kapelanowi, który był gwardianem OO. bernandynów w Radecznicy). Gdy około godz. 24 byłem wreszcie wolny i wyszedłem na dwór, strzelanina na polach i po sadach była już bardzo słaba, słychać było natomiast głucho strzały po chlewach, gdzie nasi bili świny i od razu ładowali na sanie. Inni ładowali na sanie całą zawartość sklepu. Dookoła słychać było wesołe już głosy chłopaków. Każdy zdążył już fest się nażreć i zalać robaka. Podkowa, dr Kwiatkowski, st. strz. Sęp i ja zrobiliśmy sobie kolację od razu w domu Dorffführera. Zabrałem przy tym solidne, nowe buty Dorffführera i jego plecak, który wyładowałem podarkami dla kolegów pozostałych w obozie. A był u nas taki zwyczaj, że uczestnicy jakiejś akcji przywozili coś dla kolegów, którzy musieli pozostać w obozie. O 1 po północy odbyła się zbiórka i wszyscy załadowaliśmy się na sanie udając się z powrotem do obozu. Na przedzie i na końcu kolumny jechali żołnierze, środek zaś stanowiło około 30 sań naładowanych żywnością, która potem, jak zwykle była rozdzielana pomiędzy oddziały biorące udział w akcji. Po drodze przypominano sobie wypadki zeszłego dnia, głodne brzuchy i spragnione podniebienia. Część słabszych od razu posnęła na saniach, inni dobrze podchmieleni żartowali lub kłęli jeden na drugiego za jakies tam niedociągnięcia w akcji. Najbardziej naśmiewano się z lekko rannego w rękę Osy, który wziął sobie mój bagnet, żeby kłuć nim świny dla oszczędności amunicji, ale niestety pierwsza kłuta świnia wyrwała się z chlewa i z bagnetem w ciele biegła po wsi chyba z pół godziny, aż któryś z chłopców zlitował się nad nią i palnął jej w łeb. Wracaliśmy

zasadniczo tą samą trasą, tylko innymi drogami, w wesołym nastroju, bo każdy zaopatrzył się w przyjaciółkę niedoli lasowców tj. wódkę, a zakąski zaczawszy od miodu, ciastek i cukierków, a skończywszy na mięsach, przynajmniej na drogę było dosyć. W drodze dopiero znów poczułem zimno w nogi i przypomniałem sobie zdobyte buty. Jednak w żaden sposób nie mogłem ich włożyć i dlatego bez wahania, choć były zupełnie nie noszone, zamieniłem z furmanem naszych sań na jakieś stare buciny, które po kilku dniach całkiem się rozleciały. Zadowolony wreszcie z ciepła w nogi, które owinąłem jeszcze kąpielowym ręcznikiem Dorfführera i po dobrej porcji pocieszycielki, zasnąłem wraz z kolegami na saniach. Po kilku godzinach obudzono nas, gdyż co kilka godzin zmieniano żołnierzy, którzy czuwali nad bezpieczeństwem całości oddziału i sanie nasze zostały cofnięte na koniec taboru. Podczas jazdy służbę ochrony pełniły: na przedzie kolumny 3 sanie (około 12 ludzi), pośrodku jedno sanie (5 ludzi z oficerem albo kimś z dowództwa) i na końcu kolumny 3 sanie (około 15 ludzi). Reszta żołnierzy w tym czasie przeważnie spała przemęczona akcją i drogą do niej. Rankiem 22.I. wróciliśmy do obozu witani przez kolegów spojrzzeniami, którymi liczyli czy kogoś nie braknie i wreszcie okrzykami radości na widok całości wszystkich i dużych ilości żarcia.¹²

Akcja na Suchowolę była dużym sukcesem ale miała też tragiczny aspekt. W powrotnej drodze kilku żołnierzy fetując zwycięstwo napiło się spirytusu metylowego i uległo ciężkiemu zatruciu. Mimo natychmiastowej pomocy medycznej doktora Bolesława Ałapina „Kwiatkowskiego” plutonowy Roman Paczos „Lasota” zmarł.¹³

W niezbędne leki i środki opatrunkowe doktor „Kwiatkowski” zaopatrywał się w aptece pana Gajewskiego w Łukowej. Podczas jednej z wypraw po medykamenty znalazł się w niebezpieczeństwie.

26.I. pojechałem z dr Kwiatkowskim do Łukowej. (...)Mieliśmy małą hecę z ukraińską policją. Nas dwu, a ich 5, ale dobrze się skończyło. Przybyliśmy z doktorem do Łukowej saniami około 3 po

¹² B. Polakowski, op. cit., s. 23 – 27.

¹³ A. Piotrowski, op. cit., s. 3.

południu. Pierwszą naszą czynnością było załatwienie korespondencji, dlatego też wstąpiliśmy na pocztę, gdzie zabawiliśmy około godziny. Gdy chciałem wyjść na szosę do koni, zauważyłem 5 żandarmów ukraińskich. Wszczął się ruch, bo i oni nas zobaczyli a i ludność widząc na co się zanosì zaczęła się wycofywać, gdzie kto mógł. Doktor wyskoczył na róg budynku i zajął pozycję obronną mając tylko pistolet, ja natomiast przechodząc przez poczekalnię odbezpieczyłem granat obronny z myślą natychmiastowego rzucenia go w Ukraińców, jeżeli ci zaatakują doktora. Następnie miałem zamiar skoczyć do sań, gdzie leżał rkm, który był do połowy widoczny spod słomy. Nie mając dobrego pola widzenia na stanowisko doktora z sali pocztowej wskoczyłem do czyjegoś mieszkania prywatnego, skąd mogłem skuteczniej przyjść z pomocą doktorowi. Ten natomiast wiedząc, że ja mam przy sobie tylko granaty, chciał być w pobliżu mnie, żebyśmy w razie czego razem lepiej mogli się bronić. Podczas zmiany stanowiska został on zauważony przez żandarmów i już jeden z nich podniósł karabin, lecz go drugi wstrzymał wskazując na moje stanowisko, na sanie i na wyglądających z różnych domów dookoła ludzi, których zapewne wziął za naszych żołnierzy. Po krótkim namyśle wsiedli na swoje sanie i odjechali nieufnie rozglądając się na wszystkie strony. Po tym wypadku, który tak szczęśliwie się zakończył, udaliśmy się do apteki Gajewskiego, skąd mieliśmy zabrać leki i gdzie zatrzymaliśmy się, żeby nareszcie zjeść coś odmiennego od naszych biednych potraw obozowych i przenocować. Następnego dnia raniutko wyjechaliśmy z Łukowej i już bez przeszkód dotarliśmy do obozu.¹⁴

Duże zagęszczenie stacjonujących blisko siebie oddziałów stawało się kłopotliwe. Przede wszystkim trudniej było o żywność zwłaszcza, że nie można było liczyć na pomoc ludności cywilnej, gdyż po wysiedleniu Polaków zostało niewiele, a na ich miejsce sprowadzono Ukraińców. Między oddziałami dochodziło czasem do spięć.

¹⁴ B. Polakowski, op. cit., s. 28.

4.II.44 – Wczoraj około 4 usłyszeliśmy z obozu strzelaninę w kierunku Osuch, a wiedzieliśmy, że tam pojechał nasz patrol. W obozie ruch, poszedł drugi patrol, w którym i ja byłem. Gdyśmy już dochodzili do Osuch strzały ustały. Na przywitanie zobaczyliśmy rannych. Ochocki ciężko ranny w lewy bok i ma naruszone płuco, „Max” z oddziału Groma dostał postrzał w okolicy szyi, przy czym kula została w ciele. Doniesiono naszemu dowództwu, że w pobliżu Osuch kręcą się jacyś ludzie, najprawdopodobniej bandyci, a trzeba wiedzieć, że oddziały leśne zwykły bandytyzm tępiły bezlitośnie. Dla spatrołowania tego terenu wysłano dwie drużyny czyli około 16 ludzi – jedna drużyna Podkowiaków, druga Gromiaków. Zaledwie patrol ten zbliżył się do pierwszych domów wsi Osuchy, gdy został przywitany gradem kul. W wyniku zaskoczenia od razu zostali ranni Ochocki i Max. (Maciej Jagowd, syn lekarza z Różanej koło Tarnobrogu. Zginął w walce z Ukraińcami na terenie pow. biłgorajskiego.) Wywiązała się strzelanina, na której odgłos zarówno z obozu Podkowy jak i Groma natychmiast wyruszyły silne patrole, a w obozach zarządzono pogotowie bojowe. Gromiacy przybyli pierwsi i od razu natarli na przeciwnika i wtedy dopiero tamci, zobaczywszy, że to nie żarty, zaczęli dawać znaki do zaprzestania walki. W tym czasie przybył na miejsce i nasz patrol. Okazało się, że to pijani Bechowcy tak ugościli naszych. Zaczęli się tłumaczyć, że wzięli naszych za Niemców, ponieważ zauważyli jednego żołnierza w niemieckim płaszczu. Patrol nasz, przebył odległość około 8 km prawie biegiem, był tak podniecony i podenerwowany widokiem swoich rannych, że chciał od razu rzucić się na Bechowców. Skończyło się jednak na tym, że dowódca BCH usprawiedliwił się u naszych dowódców w sztabie.¹⁵

Kurs Podchorążych dobiegł końca i rozpoczęły się egzaminy końcowe. Wyniki okazały się zadowalające. Wyszkolona została dobra kadra, która zasiliła w przyszłości kilka oddziałów. Uroczyste zakończenie kursu odbyło się 7 lutego 1944 r. Część podchorążych

¹⁵ B. Polakowski, op. cit., s. 30.

zaraz po egzaminach powróciło do macierzystych jednostek. Podkowiacy zostali na dotychczasowych kwaterach.¹⁶

W niedzielę odbyło się uroczyste zakończenie kursu podchorążych. Gości pełno. Uczta. Najstarszy rangą był major Drugak, a z nim jego małżonka. Każdy patrzył na nią, bo to naprawdę zjawisko warte zauważenia – kobieta wśród głębokich lasów na kwaterach żołnierzy – tułaczy. Odbyła się msza polowa, bo z majorem przyjechał też i ks. kapelan „Skowronek”. Dziwny to był kościół: stara opuszczona stodoła, prymitywny ołtarz, kilim, a na nim orzeł polski i krzyż. Podczas niektórych obrzędów na mszy jedna drużyna podchorążych prezentowała broń, w rogu stodoły stał chór i pełno było żołnierzy. Serca wszystkich skierowały się ku Bogu i płynęły pieśni za pieśniami. Czuliśmy samotność i dalekość domów rodzinnych. Po skończonym nabożeństwie – przemowy różnych oficerów na temat tej wojny, w której my odgrywamy swoją rolę, a raczej spełniamy nasze zadanie. Hasłem naszym jest „Bóg, Ojczyzna i Honor”.¹⁷

Pełnym sukcesem zakończyła się wyprawa rekwizycyjna do Markowicz, która miała miejsce 9 lutego. Udało się bez jednego wystrzału zdobyć zmagazynowany tam owies potrzebny do wyżywienia koni taborowych i wierzchowców.

Po przybyciu w pobliże tej wioski z lasu wyruszyły w pierwszym rzędzie dwa nasze silne patrole. Jeden zajął stanowisko od strony Biłgoraja, drugi, w którym ja byłem od strony Tarnogrodu. Stanowiska nasze były przy samym moście na Tanwi. Byliśmy przygotowani na obronę magazynu albo na przyjazd w tym czasie Niemców lub Ukraińców. W takim wypadku mieliśmy bronić taboru i zabezpieczyć jego odjazd w lasy. Obyło się jednak bez strzelaniny, gdyż ukraińscy wachmani pilnujący magazynu od razu nawiali, tak że nasi ludzie szybko naładowali sanie i spokojnie odjechalismy w lasy, do naszych obozów. W rekwizycji tej brały udział patrole od Podkowy i od Groma.¹⁸

Do Puszczy Solskiej 13 lutego wkroczył oddział partyzantki

¹⁶ A. Piotrowski, op. cit., s. 4.

¹⁷ B. . Polakowski, op. cit., s. 31.

¹⁸ Ibidem, s. 32.

sowieckiej im. Kołpakowa dowodzony przez płk Werszyhorę. Po nawiązaniu przyjaznych kontaktów „Podkowa” wyprawił się z nimi aż pod Krasnystaw do Wólki Orłowskiej, gdzie zniszczyli most kolejowy.¹⁹ W dniu 18 lutego oddziały „Groma” i „Podkowy” towarzyszyły oddziałowi mjr Kulbaki ze zgromadzenia radzieckiego ppłk Werszyhory w ataku na Tarnogród. W wyniku tej akcji obsady posterunku żandarmerii i policji ukraińskiej oraz garnizonu ukraińskiego uciekły z miasteczka. Partyzanci spalili magazyny materiałów pędnych i przeprowadzili rekwizycję w magazynach tekstylnych.²⁰ W nocy 17 lutego wybuchł pożar na kwaterze „Leszcza”. Ogień strawił wszystko i Podkowiaci stracili swoją bazę w Puszczy Solskiej.²¹

*Zamierzona akcja na Tarnogród nie powiodła się, a tylko przysporzyła nam wiele przykrości w ciągu kilku najbliższych dni. Na wstępie powrót nasz w dniu 18.II. powitały dymiące jeszcze zgłiszczające naszych kwater, toteż po przybyciu do obozu nie było gdzie przytulić głowy. Każdy był przemęczony i przemarznięty, a w dodatku koce nasze i różne zapasowe łachy spaliły się. Kilku nas spało dosłownie na zgłiszczach. Ażeby w nocy podczas snu nie zamarznąć, na spalenisko położyliśmy drzwi ze stodoły na podkładach z kamieni i ułożyliśmy się na nich do snu. Spało się jak na piecu. Następnego dnia nadleciały samoloty niemieckie, które zrzuciły kilka bomb na sowiecki obóz „Waśki”. Nasz oddział cały czas nalotu przebywał w pogotowiu bojowym w lesie. Po tym nalocie dowództwo zdecydowało, że musimy z tych stron odejść.*²²

Oddział „Podkowy” powrócił do swojego poprzedniego obozowiska koło Kawenczyna. W czasie niemieckiej akcji przeciwpartyzanckiej „Sturmwind II” w okrążeniu znalazł się pluton z oddziału „Podkowy” dowodzony przez pchor. Ryszarda Siwińskiego „Korcza”.²³

¹⁹ A. Piotrowski, op. cit., s. 4.

²⁰ J. Józwiakowski, Armia Krajowa na Zamojszczyźnie, Lublin 2007, s. 702.

²¹ A. Piotrowski, op. cit., s. 4.

²² B. Polakowski, op. cit., s. 35.

²³ J. Markiewicz, Paprocie zakwitły krwią partyzantów, Lublin 1987, s. 32.

Spokój panował jak gdyby nic, część kompanii poszła myć się do rzeki, aż tu nagle jak piorun wpada goniec krzycząc: „Niemcy jadą traktem na Bondyryz!” Alarm. Dostaję rozkaz ściągnięcia tych ludzi, którzy się kąpią. Na koń i jazda. Po drodze zawracam z dziesięciu i jadę do miejsca, gdzieśmy się zwykle kąpali. Jest tam tylko sześciu żołnierzy i kilkanaście taborowych koni. Wszyscy od razu dają wiatraka do obozu. Na drodze między rzeką a obozem jest właśnie ten trakt. Ażeby dojechać do miejsca, gdzie się wszyscy kąpali, trzeba jechać traktem aż do rozwidlenia dróg. Już słychać warkot motorów, z konia leci już piana. Chcę wykonać rozkaz i jadę naprzeciw warkotu, bo w tym kierunku idzie droga do kąpieliska. Naraz zza góry wyjeżdża pierwsze auto pancerne. Niemcy zauważyli mnie, zeskoczyli w kilku z auta i w krzaki. Skoczyłem z konia i karabinem go po grzbiecie, a sam w las, czując nad głową serie Niemców. Do obozu wpadłem zlany potem, blady jak trup.²⁴

Pluton „Korczaka” próbował przebić się przez niemieckie linie do swojego oddziału lecz okazało się to niemożliwe. Dotarł w rejon Górecka Kościelnego i przyłączył się czasowo do oddziału Jana Kędry „Topoli”.²⁵ Po tym, jak „Topola” postanowił odłączyć się od zgrupowania mjr „Kalinę” i przebijać się samodzielnie, pchor. „Korczak” zdecydował się przyłączyć swój pluton do oddziału „Woyny”, z którym pozostał już do końca.²⁶ Podczas ostatniej decydującej bitwy walczyli na lewym skrzydle oddziału „Woyny” na odcinku Krzywa Góra – Buliczówka. Tylko nielicznym udało się przebić z okrążenia. Na polu walki pozostało 11 zabitych.²⁷

W walkach nad Sopotem polegli:

- Zbigniew Borowiec „Turkiestan”
- Edward Burkowski „Głaz”
- „Felicjan” NN
- „Kazbek”

²⁴ B. Polakowski, op. cit., s. 70.

²⁵ J. Markiewicz, op. cit., s. 61.

²⁶ Ibidem, s. 123.

²⁷ Ibidem, s. 144.

- Zenon Magdziak „Pas”
- Ryszard Hubko „Mewa”
- „Orlę” NN
- Roman Piskorski „Meduza”
- „Sęp” NN
- Czesław Smardzewski „Jankes”
- Bolesław Topolnicki „Step”
- Tadeusz Zabiciel „Brzozowski”
- „Znicz” NN²⁸



Oddział Podkowy w Puszczy Solskiej. Na fotografii od prawej: Kazimierz Orzechowski ps. "Kotwica", Marian Żyła ps. "Wrzos", ps. "Orzeszek" - amunicyjny.

²⁸ Ibidem, s. 234.



Podkowiacy poją konie.



Od lewej: Bolesław Józwiakowski „Huzar” (kłęczący),
Kazimierz Orzechowski „Kotwica”, Marian Żyła „Wrzós”.



Od lewej: Kazimierz Orzechowski „Kotwica”, Michał Wysocki „Wrzos”.



Na fotografii od lewej: Kazimierz Orzechowski „Kotwica”, Marian Żyła „Wrzos”.



Na fotografii: Marian Żyła „Wrzos”, „Huzar”. Zygmunt Kuncewicz „Podkówka”
(młodszy brat Tadeusza Kuncewicza „Podkowy”), Janusz Bac „Vir”.

Spis treści

Michał Czacharowski

Nawiązanie do relacji

Czesława Mużacza „Wrągi”, „Selima” 3

Czesław Mużacz „Wrąga”, „Selim”

Wspomnienia żołnierza z września 1939 r. 11

Bronisława Staszczuk Walczyszyn „Jutrzenka”

Dziewczyna z Łaskowa w Puszczy Solskiej

w czerwcu 1944 r. 18

Maria Działo

Nieustraszony żołnierz „Woyny” 36

Maria Działo

Bracia Ludwikowie w służbie Ojczyźnie 45

Maria Działo

Podkowiacy w Puszczy Solskiej 52